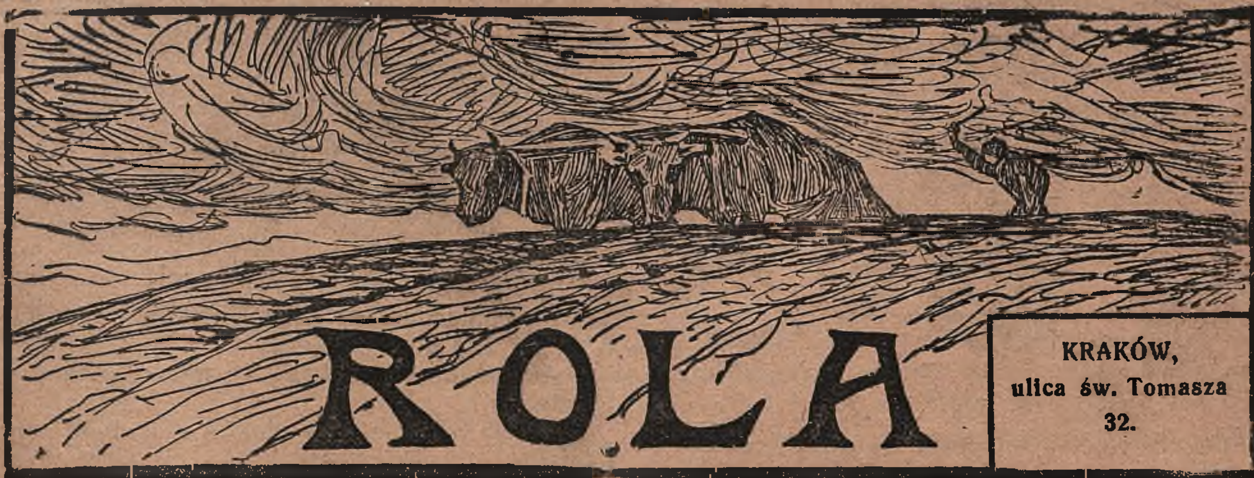
Numer 5. Nal. poczt opł rycz. **Dnia 30 Stycznia 1927.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**



W szkole.

Nauczyciel: Co to jest stary kawaler?
Uczenica: To jest nieszczęśliwy człowiek.
Nauczyciel: Kto ci to powiedział?
Uczenica: Tatuś.



Nie trafił.

— Coś ty robił o tej porze na ulicy?
— Szukałem mieszkania.
— Jakto o godzinie 3 w nocy?
— No tak, szukałem mieszkania własnego.



Zastrzegł się.

Kapral: Teraz jesteś żołnierzem i powinieneś bronić ojczyzny, oddając za nią krew.

Icek: Panie kapral, ja będę bardzo bronić, ale bez krwi.

W sądzie.

Sędzia: Czyś sam popełnił tę kradzież?
Złodziej: Sam, panie sędzio, bo teraz trudno o uczciwego wspólnika.



Prędzej i łatwiej.

— Panie doktorze, panie doktorze! proszę prędzej, bo mój stary umiera.
— Jeżeli już umiera, to na co ja tam jestem potrzebny?
— No, zawsze przy doktorze to będzie prędzej i łatwiej.



Pomysłowy Maciuś...

Do pewnej menażerji w małem miasteczku wybrał się Mateusz ze swoim Maciusiem. Gdy tam weszli i zobaczyli wielkiego słonia Maciuś rzekł do swego ojca:
— Tatusiu, taka gruba skóra, jaką ma ten słoń, toby nam się obom przydała.
— Dlaczego? — zapytał ojciec.
— Ano mnie na zylówki, a wam gdy was ma tusia walą.



Kalendarze już wyczerpane!

Numer 5. Rok X. Kraków, dnia 30 Stycznia 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 20 proc. droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Szczęście w małżeństwie.

Z zarządzenia Bożego ludzie muszą zawierać małżeństwa i żyć w małżeństwach na dolę i niedolę przez lat wiele. Dla młodych zdaje się to po największej części czemś takiem zwykłem... Zapowiedzi, ślub, wesele i koniec. Mało jest takich, którzy zastanawiają się nad tem, co potem, którzy w ślubie widzą dopiero początek tego, co ma nastąpić i trwać nieraz długie lata. I dlatego też tak mało młodzi ludzie patrzą na charakter przyszłej żony, na jej duszę. Więcej im imponuje ładna twarzyczka, lub nawet tatusiowe morgi, aniżeli zalety duszy tej, z którą żywot im cały przejść wypadnie. A i u dziewcząt o ileż częściej przeważa szalę wyboru ładny wąsik, zgrabność w tańcu, a nawet zawadjactwo, aniżeli cnoty i charakter przyszłego męża. I dlatego też wskutek braku zastanowienia się przed powzięciem tak ważnego kroku tyle dzisiaj mamy małżeństw nieszczęśliwych.

Wprawdzie zdarza się, że ten lub ta przed ślubem dobrze się namyślają, czy pożycie ich małżeńskie dobre będzie i przychodzą do wniosku, że muszą być szczęśliwi A i takich nieraz zawód spotyka. Dlaczego? Bo nie umią żyć w małżeństwie.

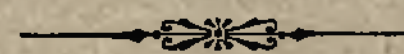
A czyż to taka sztuka? — zapyta niejeden. Zapewne, że sztuka, bo gdyby to było tak łatwo, to nie byłoby małżeństw nieszczęśliwych.

Jakież więc są warunki szczęśliwego małżeństwa.

Pierwszym i najważniejszym warunkiem to jest zawieranie małżeństwa z miłości. Przy małżeństwach zawieranych dla interesu, trudno mówić o szczęśliwem pożyciu małżeńskiem. Ale i małżeństwa z miłości często lada jakiś podmuch wykoleja i pcha w odmęt niesnasek. Aby małżeństwo zawarte z miłości utrzymać szczęśliwie i zgodnie do tego potrzeba bardzo dużo taktu, dobrej woli, radości istnienia, zdolności do wzajemnych ustępstw i wzajemnej usłużności. Należy mieć zdolność zaczynania od nowa. Zapomnieć i przebaczyć, co było wczoraj, a mieć bezgraniczną nadzieję na dzień jutrzejszy.

Ot, weźmy maleńki przykład. W małżeństwie, zawartem z miłości, niedługo po ślubie mąż, wciągnięty przez kolegów, zawróżył sobie trochę głowę. Czyż żona dobrze postąpi, jeżeli zaraz sypnie mu siarczyste kazanie. O nie! Bo wówczas mąż podrażniony odpowie to i owo, często i słowo obraźliwe, którego już nigdy w życiu cofnąć się nie da. Jest pierwsza, może nawet i drobna rysa na małżeństwie, która jednak powoduje z czasem dalsze i potrafi zburzyć szczęśliwość małżeńską. A gdyby ta sama żona nie wyrządzała mężowi krzyków, nie chodziła cały tydzień zadąsana, to mąż, który przecież nie jest tak głupi, aby nie wiedział, że źle uczynił i sam nie wystrzegał się na przyszłość czynienia czegoś podobnego. A gdyby już konieczne było jakieś skarcenie wybryku męża, to nie powinno ono być udzielane z gniewem, ale owszem, niech ten mąż czuje w słowach nagany miłość niepomierną ku sobie swej żony. I nawzajem, jeżeli mężowi wypadnie odwieść żonę od złego, to nie sprawi tego nigdy kijem, ani powrozem, ale słowami pełnemi miłości.

Małżeństwo jest szkołą zarówno dla kobiety, jak i dla mężczyzny. Boskim nauczycielem jest tutaj życie. Ale w życiu tem trzeba wygnać wszelki egoizm, to wieczne kręcenie się około swej osoby, bo tu idzie o rzecz nadzwyczajnej wagi: o szczęście na całe życie.



Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.

XI.

Po pierwszej swej nieszczęśliwej wycieczce do lasu Jaksowie nie śmieli wypraszać się już więcej za furtę klasztorną. Siedzieli spokojnie i codzień uczyli się przez kilka godzin rozmawiać po włosku z jednym z braciszków z tego kraju przybyłych. Tak upłynęło im znów kilka tygodni. Już powietrze wiosenne czuć się dawało, topniały lody, a z pod nich trawa zielona wydobywać się zaczynała.

Pewnego wieczoru, gdy się już zabierali do spoczynku, usłyszeli wrzawę u furty i spostrzegli oknem dwóch jeźdźców przybywających. Odon szczerze im przychylny, przybiegł zaraz do nich z doniesieniem, że od dworu królewskiego przybyło dwóch posłańców, którzy natychmiast zgłosili się do przeora z ważną nowiną. W niepewności, coby to być mogło, siedzieli przy kominie dwaj bracia, gdy po kilku chwilach kroki na korytarzu słyszeć się dały i wszedł przeor.

Ujrzawszy go o tej niezwykłej godzinie, uczuli trwogę. Przeor twarz miał zasępioną i smutną.

— Mężom zwiastować mam nowinę złą czy dobrą — rzekł — nie będę jej słodził i łagodził. Przybył od Opata naszego przewielebnego poseł umyślny, który przyniósł rozkaz, abyście znim razem niezwłocznie do Poznania wracali. Naprózno starałem się go badać, coby to znaczyć miało. Poseł sam nic więcej nad to nie wie, iż pospiech nakazano i ostrożność wielką, abyście na drodze widzianymi nie byli. Niech więc was Bóg prowadzi — dodał — jedźcie ufni w to, że Opat, który do ocalenia się wam przysłużył, do ostatka was nie opuści... Przyślę wam tu zaraz posła, abyście sami się z nim rozmówili o jutrzejszej podróży.

To powiedziawszy, przeor wyszedł, zostawiając Jaksów w niewysłowionem zdumieniu.

Wkrótce potem Odon wprowadził do nich dwóch podróżnych. Obaj byli komornikami ze dworu królowej Emnildy, zaledwie z widzenia Jaksom znani. Starszy z nich, człowiek wytrawny, mało mówiący, zwał się Samek; młodszy Odrzyn, pod jego był rozkazami i tylko się odznaczał śmiałością wojenną.

Pozdrowiwszy Jaksów, gdy pytać go niespokojnie zaczęli, Samek długo milczał, zbierając się na odpowiedź.

— W przededniu wyjazdu — rzekł — wezwała mnie miłościwa pani, nakazując, abym sobie pewnego dobrał towarzysza i z nim się zgłosił do Opata na, który, co mi powie, ma to być spełnionem, jak gdyby sama królowa jejmość dała od siebie rozkaz. Poszedłem wtedy do Opata, a ten powiedziawszy mi wszystko o was, kazał mi jechać niezwłocznie do Tyńca i zgłosić się do Przeora, aby zezwolił mi zabrać was z sobą do Poznania.

Usłyszawszy to Jaksowie, nic nie odpowiedzieli. Na śmierć czy życie powracać było ich powinnością. Ci, co ich ocalili, rozporządzać nimi mieli prawo. Nie pozostawało im nic nad ślepe posłuszeństwo.

Po krótkiej rozmowie udali się wszyscy na spoczynek, aby jutro jak najwcześniej puścić się w drogę.

Nazajutrz, skoro dzień zajaśniał, Jaksowie szli pożegnać Przeora i Braci, którzy, gdy się o ich wyjeździe dowiedzieli, zebrali się wszyscy, aby ich na podróż pobłogosławić. Umieli sobie bowiem bracia zaskarbić wielką przyjaźń, a poczciwy Braciszek Odon tak się do nich przywiązzał, iż prosił ze łzami, aby jak najprędzej wracali do klasztoru.

Przeprowadzeni do furty, wyjechali z posłami, wynosząc z sobą wspomnienie pobożnego i pracowitego życia zakonników, które mimowolnie na ich duszach błogie sprawiło wrażenie. Ale podróż wśród tego wiosennego świata wnet rozprószyła wszelkie uczucia tęsknoty. Samek znając dobrze drogę, wiódł ich przez lasy i manowce, tak, że zaledwie dwa dni i dwie noce minęły, gdy się już ku Poznaniowi zbliżali.

Teraz dopiero spytał Andruszka przewodnika, co miał uczynić z nimi, przybywszy do grodu nad Cybiną. Jaki miał rozkaz w tym względzie? Samek odpowiedział, iż nocą wjechać mieli na probostwo i tymczasowo pozostać w izbie, która dla nich była przeznaczoną.

Późno w nocy przybyli; stojąca u wrót straż na rozkaz Samka wpuściła jeźdźców, a choć wszyscy spali, obudzono stróża i izba do spoczynku się znalazła. Samko i Odrzyn spełniwszy co im przykazanem było, pożegnali się serdecznie z Jaksami i powrócili na dwór królowej.

Andruszka i Jurga, pomimo niepewności o dalszy los, położywszy się na przysposobionem posłaniu ze słomy, znużeni podróżą zasnęli, zapominając o wszystkiem, a choć we śnie wracała im trwoga, nie obudzili się, aż dzwony i ruch koło kościoła sen im przerwały.

Cały ranek upłynął im na oczekiwaniu. Dopiero około południa ujrzeli wchodzącego Opata Arona. Pospieszyli do ucałowania rąk jego, czekając, co im zwiastuje.

— Bóg łaskaw — odezwał się Opat — król miłościwie jest usposobionym dla was. Godzinę tylko wybrać chce królowa, w której wraz z wami stawić się ma przed nim i błagać o przebaczenie. Nie trwóżcie się więc i czekajcie, a bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy Opat nadmienił im zaraz, iż z rozkazu królowej dostać mają nowe szaty, w którychby się przed królem stawili. Dnia ani godziny nie umiał im oznaczyć.

Wielka radość wstąpiła w serca Jaksów.

Gdy nazajutrz po powrocie Samka i Odrzyna, królowa Emnilda ujrzała ich pełniących służbę, domyśliła się, iż Jaksowie są już na grodzie. Zbliżająca się chwila coraz większą przejmowała ją trwogą. Wzywała na pomoc Opatrzność, aby jej do miłosiernego dzieła dopomogła i tym razem ufając, nie zawiodła się.

W kilka dni po przybyciu młodzieńców w piękny, wiosenny wieczór, król siedział samotny z zachmurzonem czołem. Troska czy uzyska u Ojca świętego tak upragnioną koronę poświęconą, jako i brak otaczających go dawniej władyków srogo mo dokuczały.

Na chwilę takiego smutnego rozdrażnienia napotkała właśnie królowa. Ujrzawszy ją, podniósł ku niej Bolesław oczy:

— Mówią, że modlitwy ludzi świątobliwych są skuteczne — rzekł do niej — mogłabyś się pomodlić, aby mi Bóg przywrócił przyjaciół. Pusto koło mnie, nie mam ludzi... na starość odbiegło mnie wszystko.

— Miłościwy panie — odezwała się królowa — dajcie mi moc zabezpieczającą mnie od gniewu Waszego, a ufam Bogu, iż to się wszystko zmieni.

Bolesław zadumał się.

— Jakiejże chcecie mocy, jakiej poręki? — zawołał.

— Abym łaski serca Waszego nie straciła, o to tylko proszę — odpowiedziała królowa.

— Czyńcie jako wiecie, że dobrem będzie — rzekł poważnie król — tak świątobliwa jak Wy niewiasta nic zaprawdę złego uczynić nie może, a gdybym się rozgniewał na Was, byłbym winnym.

Królowa ujęła rękę męża, chąc ją pocałować. Bolesław czoła jej ustami dotknął z poszanowaniem.

— Czyńcie co chcecie — rzekł — co zrobicie będzie dobrem.

Na tę rozmowę jakby umyślnem zrządzeniem Bożem nadszedł Opat.

— W porę przybywacie — odezwał się król — oto Emnilda żąda odemnie bezpieczeństwa tylko, a obiecuje mi powrót moich straconych przyjaciół... Bądź świadkiem Ojcze mój, iż przyrzekam wszelki gniew hamować i spełnić co zechce królowa.

— Ufam, iż modlitwy świątobliwej pani naszej dokażą cudu — zawołał Opat Aron.

Wstała królowa natychmiast i dziękując jeszcze, oddaliła się.

Król zatrzymał Opata. Nieustanną troską była mu korona, której tak bardzo pragnął.

— Cóżeście obmyślili? — zapytał Opata.

— Jedno jest do uczynienia — począł Aron — potrzeba pominąwszy cesarza słać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli. Z Niemiec dochodzą wieści, iż na gościńcach poczyniono wszędzie zasadzki na jadących z Polski ku stolicy Ojca świętego. Dowiedzieli się już od kogoś o tem, co istotnie uczynić zamierzamy. Nie jednego więc posła, ale odmiennemi drogami, dwóch przynajmniej wysłać trzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzei gdy obu z darami słać musimy, nie wiedząc, który z nich dojedzie bezpiecznie, obu też należy wyposażyć i na stracenie skarb jeden poświęcić.

— Mój Ojcze — zawołał król z pogrdliwym ruchem ręki — o złoto nie idzie mi wcale. Korona poświęcona droższą jest nadewszystko dla moich potomków... Ale gdzież ludzie, którymby to poselstwo powierzyć można?

— Znajdą się ludzie — odparł Opat — dwóch nych Wam kapłanów i pamiętnych dobrodziejstw Waszych dla kościoła dostarczy nasz Zakon, rozsypany po całym świecie. Od klasztoru przejdą Niemcy i Włochy. W obronie dodamy im dzielnych rycerzy, co dla Was miłościwy panie gotowi są życie poświęcić.

— Mnichów wybierzecie — odezwał się Bolesław — ale skąd weźmiemy rycerzy, których mi na dworze codzień ubywa?

— Jutro miłościwy panie mieć ich będziecie przed sobą — rzekł Opat.

— Jutro? — powtórzył król zdziwiony.

— Tak jutro — potwierdził Opat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FEKDYNAND KURAŚ.

Przygody Filipa.

I.

— „Tprrr... tprrrrrr... Łysa stój!... Tprrrrrr..." — wrzeszczał Filip wśród mroku nocy, targając ile sił lejcami i usiłując osadzić kobyłę, pchaną naprzód staczającym się w dół wozem, na którym siedział.

Filip wracał z odległego miasteczka, dokąd w każdy dzień targowy pasjami lubił jeździć bez względu, czy była potrzeba, czy nie. Bo jakże nie jechać, skoro to najlepsza okazja zabawienia się w knajpce w gronie starych czy przygodnych znajomych na przyjacielskiej pogwarce.

Co prawda, to i w domu nie brakowało Filipowi towarzystwa, na które składało się kilku synów, parę córek i żona Kunda, która zeleżnie od usposobienia, nienajgorzej rozprawiać umiała, tylko że Filip tak „na sucho" gawędzić nie lubił. W mieście co innego. Tu wszelakiej „dobroci" na odwilżenie gardła.

Za piwem przedewszystkiem Filip przepadał, choć nie pogardzał arakiem; wstrzemięźliwym natomiast był od wódki, od której ślubował, „zażywając" jej jedynie przed wypiciem piwa, jako skutecznego środka przeciw zaziębieniu żołądka; grzanego bowiem tego brunatnego nektaru nie znosił, bez mrożonego zaś obejść się nie mógł.

Dziś właśnie porządnie się był uraczył, a wracając z żoną już po zachodzie słońca przez wieś do domu, wstąpił wedle przyjętego zwyczaju do przydrożnej karczmy na „poprawkę". Zniecierpliwiona przydługiem czekaniem żona zsiadła z wozu i piechotą poszła ku domowi, kobyłę z wozem zostawiając przed karczmą, a Filipa w knajpie.

Karczma już była prawie zupełnie z gości opustoszała, we wsi się uciszyło i światła w oknach chałup pogasły, psy tylko od czasu do czasu poszczekiwaniem się nawoływały, kiedy Filip nie bez trudności wygramolił się na wóz, śmignął batem kobyłę i jechał do domu.

Zaraz za wsią wypadało skręcić z bitego gościńca na zwykłą drożynę, polami prowadzącą do leżącego na uboczu Filipowego osiedla. Mógł sobie Filip spokojnie na wozie drzemać, zdawszy się na instynkt poczciwej szkapy, która drogę do domu znała tak dobrze, jak jej gospodarz wszystkie knajpy w miasteczku.

Na rozwidleniu dróg Łysa rzeczywiście skręciła w bok i byłaby najspokojniej na samo podwórze gospodarza dociągnęła, gdyby nie to, że wóz podskoczył, Filip raptownie się kiwnął, nosem o półkoszek dziobnął i obudził się, a powiódłszy w ciemności zaspanem okiem, krzyknął: „zabłądziłem!" i osadził kobyłę.

Przecierając oczy i rozglądając się, dostrzegł Filip zbliska niewyraźną smugę, a miarkując, że jest to droga, w tę stronę skierował kobyłę. Ale szkapie ani we łbie nie było rozkazu usłuchać. Dopiero gdy Filip jął jej zawzięcie batogiem na grzbiecie naukę posłuszeństwa wykładać, zdeterminowana kobyła poddała się wkońcu rozkazom. Ale skoro wóz po stromym spadku raptownie staczać się począł i równocześnie pod kobyłą rozległo się chlupanie wody, wtedy dopiero zrozumiał Filip, gdzie się znajduje i że sam zmusił oporną kobyłę, by wciągnęła wóz do znanej mu dobrze topieli, zaczem z całych sił jął szarpać lejcami i przeraźliwie krzyczeć:

„Pprrr... tprrrr... Łysa stój!... Tprrrrrr. Lecz było już zapóźno.

Szczęściem dla Filipa, ludzie z niedalekiej chałupy posłyszawszy krzyk, na czas przybiegli i z topieli go wyratowali.

II.

— Ej, Filip, Filip! miałbyś już dość! Temi słowy strofowała Kunda męża, gdy ten, dobrze już okutany kożuchem, stojąc opodal stolika w izbie, bladem światełkiem kopcącej lampy oświetlonej, po wychyleniu dwóch kieliszków araku nalewał sobie trzeci.

— Dla ciebie może byłoby dość — odburknął urażony Filip — bo całuśki dzień ciągiem w ciepłej izbie siedzisz, o piec się ocierasz i nigdzie nosa nie wyściubisz, — ale dla mnie, co to po całym dniu ciężkiej harówki ledwie że się położę i jeszcze oka nie zamrużę, a już wstać muszę, żeby się wybrać na tyluśką drogę, na taki mróz, na taką mordownię, — to nie może być dość, tembardziej, że araczysko jak woda.

— To czemuż się nie napijesz gorącego mleka? rozgrzałoby cię i posiliło.

— Dałabyś mi spokój ztem swojem gorącem mlekiem! Nie mam czasu dmuchać, a wrzątku przecie lać w siebie nie będę...

— Gadaj se, gadaj! — przerwała zniecierpliwiona Kunda — a tu czas ucieka. Przyrzekłeś Klimasowi, że drwa z lasu mu przywieziesz, bo chłop, cierpliwy jak anioł, dwa tygodnie już czeka, ostatnie drewienko już spalił i tylko patrzeć, jak płoty na paliwo pocznie ci rozbierać. Winieneś mu zasługę za cały tydzień młocki — nie płacisz; prosił cię, byś mu bodaj drwa z lasu za tę robotę przywiózł — nie przywoziłeś; a skoro wreszcie zniecierpliwiony począł ci wymyślać od cyganów i grozić rozebraniem i spaleniem płotów, toś mu przy świadkach przysiągł na honor, że dzisiaj drwa mu przywieziesz, — a teraz ten swój honor w araku topisz i znowu będzie nowa bieda, nowy wstyd, jakby ci mało jeszcze było tego pośmiewiska, kiedyś się to z wozem i kobyłą, wracając z jarmarku, w łasze topił...

Na wzmiankę o topieniu doznał Filip uczucia, jakby mu mrówki po skórze łaziły. Prędko więc zawiązał tobołek, którego ładowaniem podczas wygadywań Kundy był zajęty, sięgnął po kieliszek, podniósł go do ust i, przymrużywszy oczy, wychylił. Poczem splunął, rękawem kożucha gębę obtarł i wziąwszy tobołek i bat z kąta izby, wyszedł na dwór. Tu siadł na przyładowane sanie, cmoknął na kobyłę i ruszył w drogę.

Przedsionek był ciemny, gęstą mgłą przetkany. Filip, dzierżąc w lewej urękawiconej ręce lejce, prawą rękę, z której rękawicę na ostatnim jarmarku zgubił, włożył za pazuchę i, potrząsając lejcami, pokrzykiem „Łysa wio! Łysa wio!“ zachęcał kobyłę do żwawszego biegu po grubej warstwie opadów śniegowych.

Szkapa z trudem człapała w grząskim śniegu, w miarę jednak im dalej sanie się posuwały, droga stawała się coraz gładsza i kobyła mogła biec kłusa.

Popuścił tedy Filip wodze i dając upust fantazji, począł pośpiewywać:

Na sobowskim moście,
Przy stalowskiej drodze,
Snuruje dziewcyna
Trzewicek na nodze.
Hej, ha!

— Hej... ha!... odbiło się echem w szarych, mgłami spowitych przestrzeniach, a równocześnie rozległo się szczekanie psów.

— Acha! — wykrzyknął uradowany Filip — „psiny blisko szczekają, muszę już być w Stalach, a stąd już niewiele co dalej nad połowę drogi do Budy“. I zapuściwszy rękę w tobołek, wydobył flaszkę, a pociągnąwszy spory haust araku, monologował:

— Będzie już pewnie półtorej godziny, jak z domu wyjechałem; za drugie półtorej stanę w sam czas w Budzie. Ale ci mnie kobyłka moja chybko niesie, nikiej jaskółeczka... Wio, maluśka, wio!... A tak mnie Kunda do pośpiechu nagliła... I śmiała mi jeszcze wypominać topienie... Ej, bąbo, żebyś w złą godzinę nie wymówiła... Szkoda, żem ci gęby nie zamalował, byłabyś pamiętała... Albo to mnie jednego z ł e na topielisko wodziło?... A Matusa na zwiesnę, jak wracał nocą z Dzikowa, gdzie w sądzie miał sprawę z Wickiem o pyskówkę, nie zaprowadziło na bajora?... Albo łońskiego roku nie utopiło to Kaspra, jak szedł z chrzcin od Marcina... Brrr... W imię Ojca i Syna... Wio Łysa.

I chcąc się pozbyć smutnych myśli, gulnął raz i drugi araku; a odzyskawszy pewność siebie, śpiewał dalej:

Kasiu moja, Kasiu!
Mas ty nózki zgrabne
Chciej mnie, to ci sprawię
Pońcoski jedwabne!
Hej, ha!

Rozebrany trunkiem, którym coraz częściej z flaszki się zakrapiał, jechał Filip już dobrze utartą drogą i dziwił się trocha, że żadnej fury, żadnej żywej duszy w drodze nie spotkał. Chcąc zrzucić przysiadującą go nudę i zmóc senność, jaka się mu gwałtem na oczy cisnęła, nucił dalej, ale już ciszej i nieco zachrypłym głosem:

Kasiu moja, Kasiu!
Dajze dusko gęby,
Jak mi nie das, to cię
Zamaluję w zęby.
Hej, ha!

Po trzech godzinach jazdy mgły zwolna przerzedzać się poczęły i Filip zauważył jakieś blisko drogi osiedle, ale miejscowości nie mógł jeszcze rozeznać. Jechał więc dalej w przekonaniu, że wkrótce ciemna ściana boru przed nim zamajaczy. Mgły jednak jak na złość nie całkiem znikały, a lasu ani śladu i Filip zastanawiać się począł, czy przypadkiem nie zbłądził, ale że głowę miał alkoholem zawieruszoną, z trudnością się orjentował.

Okolica wydała się mu obcą, a osiedla, jakie mijał, jedno do drugiego kropka w kropkę podobne. Wreszcie zaniepokojony nieco, zatrzymał zmęczoną kobyłę i wysiadłszy z sań, bardzo niepewnym krokiem skierował się ku bliskiej chałupie, by zapytać o drogę. Ale zaledwie wszedł na obejście — zdębiał!

A toż to jego własniuteńkie osiedle! Czary to, czy co?... Zupełnie nieprzytomny przytoczył się do drzwi i gwałtownie szarpnąwszy niemi, wwalił się do izby między przerażone dzieci i żonę, bełkocąc: „Strachy... Czary... Boże ratuj...“ i tak jak wszedł, zwalił się na łóżko, a wkrótce potem chałupa napełniła się głośnem chrapaniem.

Gdy po paru godzinach, tarmoszony przez krzyczące dzieci podniósł się Filip z łóżka i wyjrzał na dwór, zdumiony zobaczył przed sobą na polu ogromne, gładko w śniegu wyjeżdżone koło, którego widok momentalnie rozwiązał mu zagadkę błądzenia. Na obręczy tego koła zgromadzili się ciekawi ludziska — niemal pół wsi — robiąc pod adresem Filipa różne uwagi i zanosząc się od śmiechu, a jakiś parobczak, ręce w trąbkę do ust przyłożywszy, zwrócony w stronę Filipa pokrzykiwał:

„Kasiu moja Kasiu... hej, ha!“

A blisko Filipowej stodoły uwijał się Klimas, zawzięcie rozrywając i na sanie ładując Filipowe płoty. Kunda zaś, zakrytą dłońmi twarz przycisnąwszy do ściany chałupy, płakała rzewnemi łzami.

OBRONA OLSZTYNA.



Jednem z wielkich nieszczęść dla Polski po wygaśnięciu rodu Jagiellonów były obiory nowego króla. Już pierwszy monarcha elekcyjny, jakim był Henryk Walezy, królewicz francuski, dostał się na tron polski dzięki intrygom swoich wysłanników. Panowanie jego trwało jednak krótko, bo gdy się opróżnił tron francuski, Henryk po cichu umknął z Polski, aby do niej już więcej nie powrócić.

Szczęśliwszym był wybór następnego króla, którym został wojewoda siedmiogrodzki, Stefan Batory. Wprawdzie i ten wybór nie poszedł gładko, bo gdy większość oświadczyła się za Stefanem, to znaleźli się przecież i tacy, którzy ogłosili królem polskim cesarza niemieckiego Maksymiljana II. Ale Stefan Batory przybył do Polski, a poślubiwszy Annę Jagiellonkę, ujął silną ręką rządy w państwie i zaprowadził w niem prędko porządek.

Chociaż Polacy widzieli, że ciągłe wybory króla wnoszą tylko zamieszanie i wywołują walki wewnętrzne, nie mogli się jakoś zdobyć na postanowienie, aby po śmierci króla obejmował tron jego syn, czyli żeby ten tron stał się dziedzicznym, jak to było za Piastów. To też gdy po dziesięciu latach panowania zmarł ten dzielny król, Stefan Batory, musiano znów wybierać nowego monarchę.

Elekcja ta znów rozdwoiła naród; jedni, pamiętając wielkie zasługi, jakie położyli dla Polski Jagiellonowie, powołują na tron polski potomka tego rodu po kądzieli, Zygmunta Wazę, syna Katarzyny Jagiellonki i Jana Wazy, króla szwedzkiego, drudzy zaś Maksymiljana, brata cesarza Rudolfa II. Rozdwojenie to wywołało wojnę w Polsce, gdyż Maksymiljan wkroczył w jej granoce i obległ Kraków, ale zwolennicy Zygmunta nie dali mu zająć tego miasta i zmusili go do cofnięcia się. Dnia 8 grudnia 1587 przybył Zygmunt do Krakowa, gdzie koronował się królem polskim, a 29 stycznia 1588 r. pod Byczyną zadaje Jan Zamoyski Maksymiljanowi ostateczną klęskę i jego samego bierze nawet do niewoli, przez co ostatecznie Zygmunt III staje się panem korony polskiej.

Podczas walk z Maksymiljanem wsławił się Kasper Karliński w r. 1587 obroną zamku Olsztyńskiego, obleganego przez wojska Maksymiljana. Dla skruszenia umysłu twardego dowódcy nieprzyjaciele, pojmawszy syna jego, niemowlę, i tegoż piastunkę kazali jej iść z dziecięciem na czele szturmującego wojska, spodziewając się, że Karliński nie każe do nich strzelać, aby własnego syna nie pozbawić przez to życia. Karliński stał właśnie w tej chwili na wałach i ze zgrozą zobaczył, jakiego podłego podstępu chwycili się jego wrogowie. W sercu jego rozpoczęła się szalona walka pomiędzy miłością ojcowską a obowiązkiem. Nie trwała ona jednak długo; zwyciężył obowiązek. Karliński dał znak wszystkim działom do wystrzału. Huknęły armaty, cała okolica pokryła się kłębami dymu. A gdy te znikły, zobaczono pola pokryte trupami nieprzyjaciół, a pomiędzy nimi znaleziono zwłoki małego synka Karlińskiego i jego piastunki. Reszta wojsk oblężniczych, jakby ze wstydem, odstąpiła od twierdzy. I tak Karliński, dokonując tego bohaterskiego czynu, nietylko spełnił swój obowiązek, ale równocześnie uratował Olsztyn od oblężenia i zdobycia go.

Obrazek nasz przedstawia właśnie chwilę, gdy na rozkaz Karlińskiego armaty, skierowane na nacierających wrogów, dają ognia, aby okryć nową sławą oręż polski, a potomnym dać przykład, z jakiem zaparciem siebie należy spełniać swoje obowiązki.

MACIEK BZDURA GADA:

Padają ludzie, ze cas od Bożego Narodzenia do Popielca nazywa się karnawał, cyli inacy nawał kar. I jeśli się komu kiedykolwiek udało prawdę pedzieć, to jesce nigdy takiej prawdziwej prawdy nie pedzioł, jak wtedy. Jesce na wsi to ten karnawał nie różni się wiele od całego roku, ale w mieście, to niech Opatrzność Boska broni!...Na wsi nie trzeba karnawału, bo się ludziska bez cały rok po gębach walą, bez cały rok w karcmiskach siedzą i bez cały rok rozmaite brewerje wycyniają. Ale po miastach jest zupełnie inacy. Na wsi ten i ów chlaśnie sobie jeden i drugi kubek śmierzdzącej i ma dość, a na to to mu bez cały rok wystarcy. W mieście za to takiej krzconej śmierdziuski pić nie kcą, ino spijają sobie rozmaite perfumowane likierki, a to kostuje moc piniędzy. Jak przyjdzie taki karnawał, to ludziska wydają nietylko te piniądze, które mają, ale i te, których nie mają, i bez to potem przez cały rok muszą oddawać to, co przez ten krótki cas wydali.

Tego roku byłem w Krakowie i jeden z gazeciarzy zaprowadził mnie na takie pańskie hulanie w mieście. Boże odpuść, jak to wszystko okrutnie śmiśnie wyglądało! Najpierw pokazał mi miastowe baby i pada:

— Widzis, Maciuś, te dziewice? Gołe całkiem, jak w Afryce; główki dawniej pełne krasy, teraz niby Papuasy, ni to chłopiec, ni dziewczyna, ma coś w sobie z Indjanina!

Patrzę i ocom nie wierzę, bo pan gazyciarz wyjątkowo nie łgał. Co prawda nie były one całkiem nagie, bo tu i ówdzie jaka taka chadera na cielisku się plenietała, ale z tego wszystkiego, co na takiej tanecnicy miastowej było, toby ani porządnej chustecki do nosa nie zrobił.

Zebrało się tego ze styry kopy, a ni miały na sobie ani dwa funty ubrania. Ale nie w tem rzec, bo jak co ładne, to tego całkiem słuśnie zakrywać nie trzeba. Przecie byłoby to po prostu śmisne, jakby nasa gospodyni wyprowadzili na jarmak jałówkę, która juz trzeci rok chowają i po katolicku karmią, i pookrywali ją dookolusienka smatkami. Ale tez jałówka ma co na sobie pokazać. I pośladki, jak się patrzy, ze na ich widok Smul, co to bydło bije, aż się oblizuje i wymiącko, ze jaz się po ziemi włócy, i na sobie mięsa podostatkiem. A to wszystko warte ludziom pokazać, bo jest się na co patrzyć. A na takiem miejskiem hulaniu to i cóz zuźrys? Na dwóch patyckach parę kostecek powleconych cieniuską skórką, jakby pajęcyną, a nad tem strzecha podstrzyzona, zeby to, Boże broń, nie zamokło. I co tu ludziom pokazywać.

A chłopaki miastowe myślicie inakse? Suchciele to, jak skrzaty jakie, ze jakbym się tak uwziął, tobym ze styrych na śniadanie schrupał.

Cekołem z okropną ciekawością, jak tez takie chucherka miastowe będą hulały... Niedługo zagrała muzyka, zrobił się ruch w tej wielgaśnej izbie, zacęło to wszyćko jakosik cudacnie podskakować, zem się nie mógł od śmichu utrzymać. Padam tedy do gazyciarza:

— Panocku, a co to jest?

— Simy! — on mi na to.

— Ja się nie pytam, cy siwy, cy nie siwy, ale co to jest.

A gazyciarz mi znowu na to:

— Wis, Maciuś, ze z ciebie cymbał okrutecny, kiedy się na takich pięknościach nie rozumis. Przecie to jest najmodniejsy taniec, a taki łatwiuśki, ze go nastuletnia panienka tańcować patrafi, kiedy ino umi nogami rusać.

Nie odpowiedziałem nic, bo mi się zaraz przypomniała sopka, z którą w Psi Wólce chłopaki po kolendzie chodzili. Takie to było podobne do tego pańskiego tańca! Tak tam, jak i tu, na patyckach lalki, mikrne w sobie, na gębie różnemi farbami pomalowane, a takie okropnie tak tam, jak i tu drewniane. I przypomniało mi się takze, jak to u nas, choć nie taka ucona muzyka, jak w mieście, ale urznie od ucha, to omal dusa z palca na środek izby nie wyskocy, a jak chłopak złapie dzieuchę w pół, to myślałbyś ze ją cemduchu na tamten świat że sobą powiedzie! A jak ci uderzy w podkówki i urznie krakowiaka, to pewnikiem wszystkie djabły w piekle się pobudzą!...

Oj co wieś, to wieś, a nie miasto! Ja myślę, ze przy takiej miastowej dzieuse to nawet w tańcu przeziębić się mozna. Człek się od niej nie zagrzeje, a i taniec go nie zagrzeje. Na wsi inacej! Ino stanies koło wsiowy dzieuchy, to ci taki war od niej bije, ze omałobyś ziemniaków przy niej na mięciusieńko nie ugotował, a przy miastowej, tak mi się widzi, ze niejeden mógłby usy na amen odmrozić.

Nie podobał mi się ten taniec, więc pytałem się gazeciarza, jak długo oni potrafią tak po warjacku koło siebie skakać, a on powiada, ze do samego rana, bo inacej nie umią.

No, jak tak, myślę sobie, to niema co robić! Podziękowałem pięknie panu gazeciarzowi za to widowisko i jesce tej samej nocy wróciłem do Psi Wólki.

O jak to dobrze!

O jak to dobrze umieć pisać wiersze,
W których się światu głosi tajne sny
I wypowiada uczucia najszczersze,
A nikt nie zgadnie: Kto ja, a kto Ty.

Tytuł niewinny, treść błaha dla innych,
A dla nas pełna uroków i snów,
I pełaną ułud i marzeń dziecinnych,
Niedokończonych bywa pełna słów...

Pod wierszem podpis. Lecz kto zgadnąć zdoła,
Czyjem on mianem?... Chyba tylko Ty...
I chyba tylko w Tobie wiersz wywoła
Odpowiedź pełną na me tajne sny.

I tak sielankę snuć możem we dwoje
I wypowiadać swoje tajne sny,
I swe marzenia i pragnienia swoje,
A nikt nie zgadnie, kto ja, a kto Ty!

Na oczach wszystkich, a jednak w ukryciu
Nasz cichy romans możem lata wić,
I mówić światu, co nas cieszy w życiu,
Jednak nikomu nieznanymi być.

Stanisław Kamyk.

Wśród puszcz i stepów.

I. Spotkanie.

W małej zatoce, wrzynającej się w gęstwinę nadbrzeżną, pluskała się gromadka dzikich gęsi, które w mieliźnie szukały pożywienia. Nie okazywały najmniejszego niepokoju, widocznie czuły się zupełnie bezpieczne w tem zaciszu, gdzie może jeszcze nigdy nie postała stopa ludzka, nie ozwał się wystrzał palnej broni. A jednak po niejakim czasie ptaki przerwały swoje poszukiwania i powyciągały szyje, nasłuchując z ciekawością raczej niżeli z trwogą. W tej samej chwili huk ozwał się nagle, dwie gęsi padły ugodzone strzałem, reszta zerwała się z przeraźliwym wrzaskiem i znikła wśród gęstwiny leśnej.



Serce prawe daje Witsonowi pokwitowanie.

Tymczasem dały się słyszeć silne uderzenia wioseł i mała łódka, mknąca jak strzała, ukazała się na rzece. Człowiek kierujący nią zręcznie, wpłynął do zatoki, pochwycił jednę gęś zabitą i puścił się w pogoń za drugą, żyjącą jeszcze, która usiłowała odpłynąć na środek rzeki. Był to młodzieniec, wyglądający na lat dwadzieścia cztery najwyżej, wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, prawdziwie atletycznej postawy.

Młodzieniec silnie robił wiosłami, goniąc za gęsią zranioną, która wciąż jeszcze trzepotała się w wodzie i odpływała coraz dalej.

— Daremne twoje usiłowania, kochanko, nie ujdziesz mojej ręki — mruknął myśliwiec przez zaciśnięte zęby; lecz wymówiwszy te słowa, przestał nagle wiosłować, podniósł głowę, jakby zapomniał o zdobyczy, którą prąd rzeki unosił i z natężoną uwagą zdawał się łowić uchem jakiś odgłos oddalony.

— To szczekanie psów — szepnął znów sam do siebie — gdzieś bardzo daleko, w każdym razie trzeba się ukryć i czekać, co z tego będzie.

Mówiąc to, myśliwiec skierował śpiesznie czółenko swoje do brzegu, wyskoczył, wyciągnął je z wody i ukrył wśród zwieszających się gałęzi drzewa tak doskonale, że najbystrzejszy wzrok nie zdołałby go tam dojrzeć. Potem stanął za pniem potężnego klonu, nie zdradzając najlżejszym szelestem swej obecności.

Tymczasem szczekanie psów stawało się coraz wyraźniejsze i zbliżało się szybko; szmer przygłuszony dał się słyszeć pośród zarośli na przeciwnym brzegu rzeki. Myśliwiec podniósł strzelbę, gotując się do obrony w razie niebezpieczeństwa, a w tem czarna postać ludzka wynurzyła się z zarośli, wskoczyła do wody i płynęła do brzegu, na którym strzelec był zaczajony.

— Zbiegły niewolnik — szepnął młodzieniec, opuścił strzelbę i patrzał spokojnie na płynącego murzyna.

Jeszcze biedny zbieg nie przebył połowy szerokości rzeki, gdy na wybrzeżu, z którego przed chwilą wskoczył do wody, ukazały się dwa psy ogromne. Chrapliwe ich sapanie, wywieszone z paszcz języki, świadczyły o długim i nużącym biegu. Gdy ujrzały murzyna, zaczęły ujadać wściekle, a jednocześnie w niewielkiej odległości ozwały się głosy ludzkie, nawołujące psy i pobudzające je do pogoni. Zwierzęta biegały jak oszalałe po wybrzeżu, nareszcie jeden gwałtownie rzucił się do wody i począł płynąć tak śmiało i szybko, że zbliżył się wkrótce do zbiega, a ten na widok tak groźnego niebezpieczeństwa wydał przeraźliwy okrzyk trwogi i rozpaczy.

— To przecież człowiek, tamto zwierz tylko — mruknął myśliwiec i z nieopisanym spokojem podniósł strzelbę. Zaledwie przyłożył ją do skroni, gdy już i strzał rozległ się w powietrzu. Pies zawył żałośnie, opuścił łeb i zatonął w wodzie; po chwili wypłynął znów na powierzchnię, lecz nie dawał już żadnych znaków życia, a prąd wody porwał martwe szczątki i uniósł na falach.

— Śmiało, przyjacielu, śmiało! — wołał myśliwiec do murzyna, który ze strachu odchodził prawie od przytomności i zaledwie był w stanie utrzymać się na wodzie.

Mówiąc to, młodzieniec nabił strzelbę na nowo i wysuwając się nieco z za drzewa ,ukazał się oczom zbiega; ten wydał okrzyk radosnego zdziwienia i żwawiej począł płynąć do brzegu. W chwili, gdy wreszcie z pomocą myśliwca stanął na ziemi, po drugiej stronie rzeki ukazało się dwóch ludzi uzbrojonych, jeden starszy, drugi znacznie młodszy; z podobieństwa rysów łatwo było poznać w nich ojca i syna. Mieli na sobie zwykłą odzież osadników leśnych, obaj byli zadyszani, jakby po długim i śpiesznym biegu.

Starszy zaklął straszliwie, spostrzegłszy szczątki zabitego psa na rzece, a na wybrzeżu murzyna, pod opieką nieznajomego człowieka.

— Hej! myśliwcze, traperze, czy co tam jesteś za jeden! — wykrzyknął grzmiącym głosem.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał spokojnie myśliwiec, podczas gdy murzyn, nową trwogą przejęty, osunął się jakby martwy u stóp jego.

— Jakiem prawem zabiłeś mego psa? — wołał osadnik z wściekłością.

— Zabiłem go, bo szło o uratowanie życia ludzkiego — odrzekł tamten, zawsze z tym samym niewzruszonym spokojem.

— Ten pies miał dla mnie większą wartość od przeklętego murzyna, którego w każdym razie śmierć czeka. A ciebie, bratku potrafię także ukarać za to, że się mieszasz w moje sprawy.

— Spróbuj pan, i owszem, obaczymy, czy ja pozwolę sobie krzywdę wyrządzić.

— Zastrzelę cię tak samo, jak ty mego psa.

— Obaczymy — powtórzył myśliwiec z najzimniejszą krwią, nie spuszczając ani na chwilę z oczu obu swych przeciwników i trzymając broń w pogotowiu.

— Powiedz-że mi z łaski swojej — spytał stary osadnik po chwili milczenia — co cię obchodzi ten czarny łotr, który już po raz trzeci odemnie ucieka?

— Po raz trzeci, powiadasz pan?

— Tak, tak, po raz trzeci, czyż nie zasłużył na śmierć?

— To jeszcze pytanie.

— Jakto, cóż to znów za żarty?

— Ja tylko stąd wnoszę, że biedak musiał być gorzej traktowany od tego psa, którego pan tak żałujesz.

— To do ciebie nie należy. A teraz pytam raz jeszcze, czy oddasz mi dobrowolnie murzyna?

— Musisz pan na odpowiedź trochę poczekać.

— A to dlaczego?

— Niech wprzód ten nieszczęśliwy, który o mało ducha nie wyzionął, przyjdzie do siebie i da mi pewne wyjaśnienia.

— A potem?

— Potem zobaczymy, — cierpliwości!

— A bodajże cię jasne pioruny!...

— Czy tak? — zawołał myśliwiec i szybko wymierzył. Strzał padł i wytrącił broń z ręki młodszego skwatera, który ukrywał się za drzewem i widocznie w złych zamiarach wysunął z za pnia lufę swojej strzelby. Młody myśliwiec, strzeliwszy, uskoczył także szybko za drzewo, nabił broń na nowo, potem znów wyszedł z ukrycia, spokojnie oparł się na kolbie, mówiąc:

— Jestem na rozkazy.

2. Cezar.

Murzyn aż do tej chwili leżał na ziemi nieprzytomny; teraz zaczął się zwolna podnosić. Był to chłopak bardzo jeszcze młody, zaledwie szesnastoletni, nieduży, lecz silnie zbudowany. Oczy jego w tej chwili zdradzały trwogę śmiertelną. Gdy obaczył na brzegu przeciwnym swoich prześladowców, przypomniał sobie wszystko i dreszcz przerażenia przeszedł go od stóp do głowy. Zerwał się nagle z ziemi, potem padł na kolana przed myśliwcem i wołał, obejmując jego kolana:

— O panie, ratuj mnie, ratuj! — a łzy rzęsiste spływały po czarnych jego policzkach.

— Bądź spokojny — odrzekł myśliwiec, spoglądając ze współczuciem na młodego murzyna — nie dam ci wyrządzić krzywdy; rozumie się, jeśli na to zasługujesz. A najpierw powiedz mi, jak się nazywasz.

— Cezar, kochany, dobry panie, Cezar.

— A ten twój pan, co tam stoi?

— Nazywa się Jakób Wattson.

— Jesteś jego niewolnikiem?

— Tak, panie.

— On powiada, że już trzeci raz uciekasz od niego; czy to prawda?

— Prawda, panie.

— Powiedz-że mi, dlaczego uciekasz?

— Bo wytrzymać nie mogę. Traktuje mnie jak psa, o nie! daleko gorzej, niż psa.

Mówiąc to, murzyn rozpiął lekką bawełnianą koszulę i ukazał na plecach, piersiach i ramionach, okropne, głębokie blizny, niektóre dotąd zakrwawione.

Wreszcie opowiedział myśliwemu, w jak okrutny sposób znęcali się nad nim synowie Wattsona, Ben i Dik, a jedynie siostra ich Ella broniła go przed katowaniem.

— Cóż tam, panie myśliwy, czy już porozumiałeś się z tym czarnym hultajem? — ozwał się stary Wattson z gniewem.

— Skończyłem właśnie.

— Musiał nakłamać przed tobą, a ty mu wierzysz.

— Jestem przekonany, że mówił prawdę i dlatego mu wierzę — odrzekł myśliwiec.

— O dzięki ci, dobry panie! — wołał murzyn, chcąc ucałować rękę młodzieńca, na co ten nie pozwolił.

— Co za głupie żarty! — wykrzyknął skwater, drżąc ze złości — nie dbam o to wcale, czy wierzysz, czy nie wierzysz temu nicponiowi, byleś mi go oddał, bo jest własnością moją, rozumiesz?

— O panie, miej litość nademną! — błagał murzyn, obejmując kolana myśliwca.

— Uspokój się, mój chłopcze — mówił ten, podnosząc biedaka i znowu zwrócił się do osadników. — Nie oddam tego nieszczęśliwego w wasze ręce, bo schronił się pod opiekę moją i ze wszech miar godnym jest współczucia.

— Jakto! nie oddasz mi własnego mego niewolnika? — wykrzyknął Wattson z wściekłością i groźnie podniósł strzelbę.

— Nie radzę wam, moi panowie, brać się do broni — rzekł spokojnie myśliwiec, trzymając także strzelbę w pogotowiu — bo i ja strzelać umiem. Pomówmy lepiej rozsądnie, a może potrafimy się porozumieć, tym sposobem prędzej dojdziemy do końca.

— Ja nie chcę żadnego porozumienia! — wołał Wattson ze złością — oddaj mi niewolnika i basta!

— Gniewy i krzyki na nic się ze mną nie przydadzą — mówił z krwią zimną myśliwiec — raz jeszcze zapytuję, czy wysłuchasz pan spokojnie tego, co ci mam do powiedzenia? Bo jeżeli nie, to zaraz stąd odchodzę w swoją stronę i tego chłopca zabieram z sobą. Zobaczymy, czy mi kto przeszkodzi.

— Mówże prędzej — mruknął skwater.

— Ile pan zapłaciłeś za tego murzyna?

— Sto piędziesiąt dolarów.

— Tak dużo?

— Do czego to wszystko prowadzi?

— Do tego, że chciałbym tego murzyna kupić.

— Kupić? naprawdę? — ozwał się stary Wattson, niezmiernie zdziwiony.

— Wcale nie myślę żartować.

— Ależ to całkiem inna sprawa, mój panie myśliwy — mówił osadnik coraz grzeczniej — o tem możemy pomówić, i owszem.

— Posłuchajże więc, co ci za niego ofiarować mogę. Mam dwie przepyszne skóry jaguarów i pół tuzina najpiękniejszych skórek bobrowych. Sądzę, że to dostateczna zapłata za niewolnika, z którego i tak nie miałbyś pan żadnego pożytku, bo wolał zginąć, niż pozostać w twoich rękach.

— Nic nie mam przeciwko temu — odrzekł osadnik, zupełnie udobruchany

— Musimy tedy spisać umowę — rzekł myśliwiec i postąpił do zarośli, gdzie łódka jego była schowana, aby się przeprawić na drugą stronę i oddać obiecane skóry osadnikowi.

Myśliwiec wróciwszy zbliżył się wolnym krokiem do obu Wattsonów i rzekł, wyciągając do nich rękę:

— A więc zgoda już między nami?

— Zgoda, zgoda — mówił stary Wattson wesoło, ściskając podaną rękę z największą serdecznością. — Gdybyś był pan odrazu powiedział, że chcesz tego czarnego nicponia kupić odemnie, nie przyszłoby wcale do tej niepotrzebnej sprzeczki.

— Zapewne, ale musiałem się przecież wprzód przekonać, czy chłopak wart tego, co dla niego robię.

— Co prawda, wielkiej pociechy pan z niego mieć nie będziesz, leń jest i do niczego, takim też pewnie zostanie do śmierci. Ale to już nie moja rzecz, rób pan z nim, co ci się podoba. A teraz czy nie zechcesz wymienić swego nazwiska? Ja się nazywam Wattson.

— Co do mnie — odrzekł myśliwiec — Osagowie, z którymi żyję w stosunkach przyjaźni, nazywają mnie Sercem prawem, a myśliwi, towarzysze moi, nadali mi miano Pogromcy tygrysów.

— Do pioruna! że też ja tego nie odgadłem odrazu! — zawołał Wattson w uniesieniu i po raz drugi począł ściskać dłoń myśliwca — cieszę się niezmiernie, że mam sposobność poznać tak słynnego myśliwca; nasłuchałem się o panu niemało, na sto mil dokoła opowiadają o tobie. Wybacz pan, proszę, niewłaściwe moje postępowanie, nie wiedziałem, z kim mam do czynienia.

— Wielki to będzie zaszczyt dla mnie — mówił osadnik dalej — radbym tak miłego gościa zatrzymać w moim domu przez kilka dni przynajmniej, i spodziewam się, że mi pan tej przyjemności nie odmówisz. Drogę do naszej osady wskaże panu ten czarny ladaco, który jest teraz twoim sługą; to bardzo niedaleko, pięć mil stąd nie więcej.

— Muszę panu powiedzieć, żeś nie bardzo stosowne miejsce wybrał na założenie osady.

— A to dlaczego?

— Bo plemiona indyjskie od niejakiego czasu w tych okolicach najwięcej plądrują; nigdzie biali nie są przez nich prześladowani z takiem okrucieństwem, jak tu właśnie. Dotąd widocznie szczęście panu sprzyjało. Wspomniał mi jednak Cezar, opowiadając szczegóły swojej ucieczki, że w pobliżu osady spostrzeżono ślady Czerwonoskórych. Czyżby miał skłamać?

— Tego nie powiem, ślady te były rzeczywiście widziane, lecz sam z synem i dwoma sługami przetrząsłem całą okolicę i nigdzie Indjan nie napotkałem.

— W każdym razie radzę panu pośpieszać do domu, bo Indjanie są nadzwyczaj czujni i podstępni, nieobecność pańska z pewnością nie ukryje się przed nimi.

Ojciec i syn najserdeczniej uściskali dłoń myśliwca, zabrali skóry, stanowiące zapłatę za murzyna i puścili się w drogę. Myśliwiec wsiadł do łódki i na drugi brzeg powrócił. Murzyn podskoczył na spotkanie nowego pana, szalone objawy jego radości ustąpiły miejsca spokojniejszym uczuciom, lecz twarz cała rozpromieniona i oczy błyszczące wyrażały uszczęśliwienie.

— No, rad jestem, że cię tu zastaję — rzekł Serce prawe.

— A gdzieżbym ja mógł być? — zapytał chłopiec zdziwiony.

— Mógłbyś skorzystać z mojej nieobecności i znowu do lasu drapnąć.

— Czy pan doprawdy to myśli, co mówi?

— Czemuż nie? miałeś rzeczywiście wyborną sposobność do ucieczki.

— Więc pan podejrzywał Cezara o tak czarną niewdzięczność?

— Wiem tylko, że pragniesz swobody, skoro wolałeś śmierć ponieść, niż pozostawać dłużej w niewoli.

— To wcale co innego, uciekłem od okrucieństwa, od prześladowców moich; a pan jesteś moim dobroczyńcą, zbawcą, uratowałeś mi życie.

— Po to tylko, ażeby cię uczynić swoim niewolnikiem.

— Ależ ja z radością, z roszkoszą największą będę niewolnikiem pańskim.

— Czy zupełnie szczerze to mówisz?

— Ja pana tak kocham, a pan mi nie wierzy — i cień smutku zasępił twarz murzyna.

—To dobrze, uspokój się, chłopcze, ja ci wierzę. Widzę, że masz poczciwe serce i w nagrodę obdarzę cię tem, czego najgoręcej pragnąłeś.

— Nie rozumiem, co pan chcesz powiedzieć.

Myśliwiec wyjął tymczasem drugą ćwiartkę papieru ze swego pugilaresu, napisał coś na niej i podał murzynowi, mówiąc:

— Przeczytaj to, wszak umiesz czytać.

Mówiąc to, myśliwiec wręczył Cezarowi kartkę, na której było wypisane zwolnienie go z niewoli i dodał:

— Jeśli masz ochotę zostać, to i owszem, ale cię nie zmuszam, chyba, że to uczynisz z dobrej woli.

Murzyn wydał okrzyk szalonej radości, podskoczył raz i drugi, potem kozła przewrócił, śmiał się, klaskał w ręce, jak małe dziecko, gdy dostanie nową zabawkę.

— Dowiedzże się przedewszystkiem, dodał myśliwy, że ja się nazywam Serce prawe; a teraz chodź, — upatrzywszy sobie miejsce na nocleg, jutro rano poszukamy bobrów. Trzeba i łódkę wyciągnąć z wody.

Zmierzch szybko zapadał, w lesie ściemniało się coraz więcej, wkrótce też ozwał się z głębi puszczy zwykły chór nocny. Ponury ryk większych zwierząt drapieżnych mieszał się z piskliwymi głosami mniejszych stworzeń i urywanem wyciem wilków. Myśliwiec wyciągnął z pomocą murzyna łódkę swoją z wody, poczem obaj powędrowali dalej, szukając wygodnego miejsca na nocleg, a w ustroniu, gdzie się rozgrywały wypadki, opisane powyżej, nie pozostało najmniejszego śladu obecności ludzkiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przez ciernie żywota.

Pod powyższym tytułem ukazały się pamiętniki Ferdynanda Kurasia nakładem A. Gmachowskiego w Częstochowie. Żadna książka z ostatnio wydanych nie przemawia tak do serca, jak pamiętniki Ferdynanda Kurasia. Książkę tę pisał krwią serdeczną, tak też ją muszą przyjąć czytelnicy w mieście i na wsi. Ukazał nam w niej Kuraś całego siebie, całe swoje ciężkie życie, przez które szedł, by znaleść, własne piękno, i mógł odsłonić swoją niezwykłą duszę. Cierpienie zrodziło w nim poezję i szlachetność. Toteż czyny jego i życie były pod niebem szlachetności zakwitłe. Szedł przed siebie w noc ciemną wśród błyskawic — ufny, że zobaczy zorzę polarną. Serce jego zmieniło się w kwitnący kwiat poezji.

Ileż bławatów z pól polskich, róż, białego kwiecia z głogów dzikich, rzucił nam pod nogi! Jak pięknie śpiewał o wolności Ojczyzny, o niedoli ludu polskiego, a ileż się nawołał o oświatę dla swych braci w zapadłych ciemnych wioskach! Dziś spełnia się marzenie jego. Chłop zyskał prawo obywatelstwa i jest ró-

wnym w obliczu prawa w Ojczyźnie. Nikt nie śmie wzgardzić dłonią wieśniaka i robotnika, bo to dobrzy pracownicy i twórcy przyszłości. Na takich ludziach można położyć sztandar biało-czerwony, i śpiewać pieśń nadzieji słonecznej. Nastąpi czas, kiedy wieś będzie miastem i nic nie będzie dzieliło nas od szarej masy chłopstwa, nie będzie waśni i nienawiści, tylko obywatele równi, zjednoczeni.

Kuraś należy do rzeszy inteligencji chłopskiej. Ludzi takich trzeba kochać i cenić. Jeżeli wieś polska wydawać będzie z swego łona takich światłych i mądrych ludzi — możemy być dumni i cieszyć się, że Polska staje się wielką. W ich ręce można śmiało oddać losy Ojczyzny.

Książka Kurasia przedstawia nam część polskich wsi, zwyczaje zamierające wśród ludu, i życie ubogiej rodziny jego. Jakże pięknie śpiewa nam Kuraś ślicznym językiem swe dzieje o swej nieszczęśliwej młodości chmurnej, o pracy i wzlotach ponad słonecznych, o pogodzie ducha i miłości Bożej! Weźcie czytelnicy do ręki tę śliczną książkę, trud czytania opłaci się wam naprawdę. Dla was jest przeznaczona i dla inteligencji. Mądra to książka i poważna, dzieło, które rzadko się ukazuje w literaturze ludowej a napisał go dla was człowiek, który wyszedł z was i wybił się talentem i pracą na stanowisko zaszczytne w literaturze. Pierwsze wydanie tej książki jest na wyczerpaniu — rozchwytujcie ją, by wyszła znowu w kilkunastu tysiącach i sławiła imię waszego największego pieśniarza, który was tak gorąco ukochał!...

Fr. Lipiński.



Poradnik gospodarczy.

W ogrodzie owocowym obecnie niema prawie żadnego zajęcia. Baczyć jednak należy, aby zające nie dostawały się do ogrodu i nie niszczyły drzewek przez obgryzanie kory i młodych pędów. W celu uniknięcia tej dotkliwej szkody, należy już w jesieni poprawiać ogrodżenia, zaś w polu poobwiązywać drzewka tarniną, głogiem, lub innemi kolczastemi gałązkami, aby zające nie mogły się dobrać do kory drzewka.

Przed silnemi mrozami obwijamy młode pnie słomą; od wichrów chroni drzewko dobrze umocowany palik. Drzewko proste, zdrowe a przedewszystkiem dobrze posadzone w zacisznem miejscu, zupełnie może się obejść bez palika, ale przy drzewkach sadzonych w miejscach otwartych np. przy drogach, palik jest niezbędny. Palik, należy wbijać przed posadzeniem drzewka od strony południowej, lub od strony drogi. Przed wbiciem palik powinien być zaostrzony i zabezpieczony od gnicia przez opalenie, lub przez napuszczenie go terem. Nie powinien być ani za długi, ani za krótki; dobry palik ma sięgać do korony, a nie dostawać do gałązek drzewka. Powinien być silny, aby nie poddawać się wiatrom.

Przy sadzeniu drzewka owocowego popełnia się najczęściej ten błąd, iż sadzi się je zagłęboko w ziemię, co bardzo ujemnie wpływa na wzrost i owocowanie drzewka, zwłaszcza na gruntach gliniastych. Młode drzewka tak należy sadzić, aby miejsce, gdzie się korzenie rozrastają, było 6—8 cm. zakryte ziemią.

Korony drzewek, sadzonych w jesieni, nie należy przycinać, aż na wiosnę. Dobrze jest przed sadzeniem drzewka, zamaczać jego korzonki w rozczynie sporządzonym z gliny, krowieńca i wody. Gdyby korzonki drzewka zostały uszkodzone, należy je nożem przyciąć, tak, aby rana była zwrócona w dół i była zupełnie gładka. Wszystkie ostrzępienia korzonków i pnia i wszelkie uszkodzenia, należy przed posadzeniem drzewka usunąć.

Po dobrem posadzeniu drzewka należy je do palika bardzo wolno przymocować słomianem powrósłem.

Wczesną wiosną, gdy już śniegi zejdą, smarujemy młode i stare drzewka gliną i wapnem. Mieszanina ta niszczy jajeczka różnych owadów, ukrytych w korze, dlatego przed smarowaniem drzew starszych, należy te ze starej kory oczyścić i dopiero posmarować. W czasie wiosennych przymrozków, mieszanina ta chroni drzewko przed zmarznięciem (zwłaszcza, gdy się ruszą soki), kolor biały, jasny, nie przyjmuje tak silnie ciepła słonecznego, wskutek czego drzewko nie rozgrzewa się, a tem samem, tak nie marznie. W czasie deszczu powoli spłukiwana glina i wapno użyźniają glebę i, działając na nią chemicznie, dopomagają do lepszego wzrostu drzewka i jego owocowania.

Gdy po zasadzeniu drzewka ziemia już wkoło niego osiadła, należy wtedy dopiero drzewko na stałe przymocować wikliną, paskiem płóciennym, rafją, lub opaską z kokosu, ale tak, aby drzewko nie tarło się i nie raniło o palik. Każda rana na drzewku powinna być starannie oczyszczona i zasmarowana maścią ogrodniczą. Szybkość gojenia się rany zależną jest od dobroci maści.

Maści ogrodnicze mamy stałe lub płynne. Mamy liczne przepisy do sporządzania maści ogrodniczej, jednym z godnych polecenia jest następujący: 2 części żywicy, 1 część wosku pszczelnego i trochę smalcu wieprzowego stopić na wolnym ogniu, a po ostudzeniu dodać jedną część terpentyny. To zlać do puszki metalowej i w miarę zapotrzebowania używać. Tak sporządzona maść powinna być lepka, łatwo do drzewa przylegająca, nie może się topić na słońcu i pękać po wyschnięciu. Gdyby zaś zaschnęła w puszce, należy ją roztopić na wolnym ogniu. Maść taka daje się przechowywać długie lata i jest dobra do użytku.

Maść płynną otrzymuje się w następujący sposób: 25 dkg. żywicy, 15 dkg. smoły szewskiej białej, rozpuścić na wolnym ogniu do tego wlać 5 dkg. osobno stopionego łoju, pomieszanego z 10 dkg. spirytusu 96 procentowego i mieszać wlewając. Dodać następnie 10 dkg. okry sproszkowanej i dokładnie zmieszawszy, zlać do słoika, flaszki lub puszki metalowej i po wystudzeniu używać, smarując ranę drzewa pędzelkiem. Przy dłuższem staniu w naczyniu maść ta tężeje po wierzchu, jednak pod spodem pozostaje w stanie płynnym i daje się dobrze przechowywać.

Jan Matysik.

Ze Związku zawodowych rolników.

Do wszystkich powiatowych i okręgowych Związków!

Proszę wszystkie Powiatowe Związki i Okręgowe Związki tam gdzie niema jeszcze powiatowego, o jak najśpieśniejsze zapodanie zapotrzebowania na konicz, wyłącznie tylko dla członków. Mamy widoki zaku-

pienia bardzo taniego i dobrego koniczu, o ile wszyscy razem zamówią.

Krajowy Związek Zawodowych Rolników. Tymczasowa siedziba: Zassów, pod Czarną.

Tadeusz Łubieński.

Organizacja rolników zawodowych.

W powiecie wadowickim prace organizacyjne postępują szybko, obejmując coraz większą część powiatu. W niedzielę ostatnią odbyło się zebranie rolników w Stryszawie. Po wysłuchaniu szczerego, opartego na przykładach i niezbitych dowodach przemówienia p. Lorenca, uchwalono jednogłośnie utworzenie Okręgowego Związku Zawodowych Rolników w Stryszawie. Do zarządu weszli ludzie młodzi, chętni do pracy nad podniesieniem doli rolników tacy, którzy, będąc w „świecie" na własne oczy widzieli, jak to rolnictwo stoi zagranicą wysoko i jakie korzyści daje tym, którzy na roli pracują. Na prezesa wybrano Mirochę Antoniego, sekretarzem Gembalę Leona a skarbnikiem Tomowicza Stefana. Organizacja rolników w powiecie wadowickim już dochodzi do utworzenia Powiatowego Zarządu, co nastąpi w najbliższych dniach. *Tadeusz Lorenc.*

Powiatowy Związek Zawodowych Rolników w Mielcu podaje do wiadomości, że tymczasową siedzibą Pow. Związku Zaw. Roln. są Wadowice Górne. Prezesem jest Maj Franciszek. Zainteresowanie się włościan naszą Organizacją jest w powiecie mieleckim wielkie i rokuje nadzieje, że powiat ten dzięki obywatelskim uczuciom pow. prezesa i prezesów okręgowych stanie w rzędzie najlepiej zorganizowanych powiatów. Włościanie tego powiatu garną się do Związku Zaw. Roln. nietylko dlatego, że Organizacja ta zapewnia już poważne korzyści, ale zwłaszcza dlatego, że obudziło się w nich szlachetne poczucie wzajemnej pomocy i współpracy na gruncie zawodowym, porzucając dotychczasowe waśnie partyjne. Krajowy Związek Zaw. Roln.

Powiatowe i Okręgowe Związki podadzą zapotrzebowanie na afisze, potrzebne do ogłaszania zebrań i wiadomości dla członków do Kraj. Związku Zaw. Roln. Zassów, ad Czarna.

Cukier dla pszczół.

Na liczne zapytania Kraj. Związku Zawod. Rolników w uzupełnieniu odezwy swojej, umieszczonej w Nr. 3 „Roli" wyjaśnia, że każdy O k r ę g o w y Z. Z. Rolników winien sporządzić imienny wykaz tych swoich członków, którzy mają pasieki, a w wykazie podać dokładnie ilość posiadanych p n i p s z c z ó ł i ilość potrzebnego cukru do zasilenia pszczół z wiosną.

Wykazy podpisane przez Zarząd O. Z. Z. R. należy wysłać bezwłocznie do swego powiatowego Związku, a ten, po zebraniu wykazów ze wszystkich miejscowości, poszle je Krajowemu Z. Z. R. (na razie) w Zassowie.

Ogłoszenie to należałoby podać do wiadomości i w tych gminach sąsiednich, które dotychczas jeszcze odrębnych Związków nie mają, a zgłaszających się, wpisać jako członków O. Z. Z. R. i umieścić w wykazie.

Wzywa się wszystkich pszczelarzy — członków Związku Zaw. Roln., aby zgłosili prośbę o przydział cukru, wolnego od podatku, na karmienie wiosenne. Prośby te wysyłać na ręce p. Józefa Lorenca, Lanckorona, koło Kalwarji Zebrzydowskiej. W podaniu należy podać ilość uli ,co ma być stwierdzone przez Urząd Gminny.

Wiadomości polityczne.

Długi Polski. W ostatnim „Monitorze Polskim" ukazało się urzędowe zestawienie długów Rzeczypospolitej z dniem 1 stycznia 1927 r., opracowane przez specjalną komisję kontroli długów państwowych. Zestawienie podzielone jest na 4 działy zawierające: długi wewnętrzne państwa, długi zagraniczne, oraz gwarancje udzielone przez państwo na długi zaciągnięte przez instytucje prywatne i publiczne. W dziale długów wewnętrznych figurują naogół pozycje niewielkie, olbrzymie sumy występują dopiero w dziale długów wobec państw i instytucyj zagranicznych. W szczególności państwo polskie jest winne Ameryce 213 miljonów dolarów, Francji 1 miljard franków, Anglji 1 miljon funtów szterlingów, Włochom 454 miljonów lirów, Szwecji 6 miljonów koron- Szwajcarji 88 tysięcy franków szwajcarskich. Na podstawie protokółu insbruckiego, odnoszącego się do długów sukcesyjnych po Austrji, Polska jest winna 66 miljonów guldenów i 23 miljony koron złotych.

Bilon jest też jedną z form zadłużenia wewnętrznego państwa. Znajduje się go w obiegu 459·5 miljonów złotych.

Niemniej poważnie przedstawjają się pozycje gwarancyj państwa. W liczbach zaokrąglonych przyjęło państwo gwarancyj na sumę 325 miljonów złotych w złocie, 16 milj. dolarów, 2 milj funtów szterl.

Według obliczeń ogólne zadłużenie państwa wyrazi się najjaśniej, jeżeli wyobrazimy sobie, że na jednego mieszkańca w Polsce przypada 13 dolarów długu.

O wydanie posłów białoruskich. W poniedziałek obradowała komisja nietykalności poselskiej. Na porządku dziennym była sprawa wydania posłów białoruskich sądom. Ponieważ jednak poseł Jaremicz (Białorusin) sprzeciwił się, aby komisja pierwej obradowała nad tą sprawą, aniżeli sejm, przewodniczący Popiel odroczył obrady komisji na później.

Wybory w Karwinie. W niedzielę w Karwinie dokonano wyboru burmistrza. Zwyciężyli Polacy, uzyskawszy 23 głosy. Czesi otrzymali 17 głosów. Burmistrzem został wybrany nauczyciel Polak p. Teodor Musier, pierwszym zastępcą Dr Wacław Olszek, prezes Macierzy, drugim zastępcą również Polak górnik Mahacz.

Przesilenie w Niemczech. We wtorek przystąpił kanclerz Marx do urzędowych rokowań z przewódcami poszczególnych stronnictw w sprawie utworzenia rządu na podstawie programów centrum. Wobec tego, że Reichstag dnia 26 b. m. przerywa swoje obrady na przeciąg jednego tygodnia ze względu na wybory w Turyngji, pragnie kanclerz Marx przed tym terminem zakończyć rokowania.

Śmierć obłąkanej cesarzowej. W Brukseli zmarła dnia 19 b. m. cesarzowa Charlotta, wdowa po cesarzu Maksymiljanie Meksykańskim, który w r. 1866 został przez rewolucjonistów zastrzelony. Po tem wielkiem nieszczęściu popadła w obłąkanie w r. 1867, w którem przeżyła 60 lat. Zmarła w 87 roku życia. Była ona ciotką obecnego króla belgijskiego Alberta.

Rozwiązanie sejmu Kłajpedy. Rząd litewski rozwiązał sejm kłajpedzki. W nocy z soboty na niedzielę wydany został specjalny dodatek nadzwyczajny organu urzędowego, w którym zawiadamia się ludność o rozwiązaniu, bez podania przyczyn. Rozwiązanie nastąpiło na wniosek dyrektorjum, w skład którego wchodzą Szalkins, Borchert i Czekloba.

KRONIKA.

Sędziwa staruszka. Do szpitala w Rzeszowie przybyła onegdaj kobieta nazwiskiem Marja Jaremina Mets, licząca 132 lat. Jak wynika z jej dokumentów, urodziła się w roku 1794. Obecnie trzyma się, jak na swój wiek, bardzo dobrze. Ogromnie bystrą wykazuje pamięć z lat dziecięcych, w których widziała Napoleona. Przez 80 lat była akuszerką. Nie zatraciła staruszka uczuć rodzinnych, które w tym wieku spowodowały ją do podjęcia podróży ze Stanisławowa na granicę czeską, gdzie przebywają jej krewni i gdzie przyszła na świat. Najmłodsza jej córka umarła, mając 95 lat. W Rzeszowie staruszka była zmuszona przerwać podróż z powodu choroby, jakiej nabawiła się w podróży. Po odpoczynku zamierza starowina udać się w dalszą drogę.

Morderstwo koło Brzozowa. We wsi Buków obok Brzozowa miał swój sklepik spożywczy i towarów mięszanych niejaki Franciszek Lande. Żył on tam ze swoją żoną, Salomeą, oraz siedmioletnim synkiem. Ubiegłego poniedziałku Lande zamierzał wczesnym rankiem wyjechać na jarmark do Rymanowa. Toteż celem przygotowania się do podróży wstał już o godzinie 3 w nocy. W tym czasie nieznani osobnicy zapukali do drzwi Landy, a gdy ten je otworzył, zaatakowali go przybysze. Jeden uderzył go siekierą, przyczem inni poczęli go okładać kijami. Przerażona tem żona pospieszyła mężowi z pomocą, lecz i ona wkrótce runęła na podłogę z rozbitą głową. Następnie rabusie zabrali pieniądze i zbiegli. Walka w pokoju musiała być zacięta, gdyż spadła z sufitu wisząca lampa naftowa i spowodowała ogień. Poczęło palić się łóżko, na którem spał siedmioletni synek Landów. Gdy w chacie poczęło się już dobrze palić, zauważyli to sąsiedzi i pobiegli na ratunek. Na podłodze zastali bez życia Landów, a w łóżku spalone już zwłoki dziecka. Zawiadomiona o tem policja natychmiast wdrożyła energiczne śledztwo i ostatecznie udało się schwytać jednego ze sprawców, który już schronił się we wsi Łężany koło Krosna. Ujęty bandyta nazywa się Jan Włodek.

Napad rabunkowy na drodze. Onegdaj drogą z Przemyśla do Starego Sambora jechał wozem Berisch Jakubowicz wraz z woźnicą, Bazylim Demkowem. Wieźli oni dwie paki z tytoniem, które były łańcuchami umocowane do wozu. Gdy przejeżdżali między Hruszowicami a Hubicami nagle z poza wzgórka wyskoczyli trzej zamaskowani bandyci, którzy zatrzymali konie, a grożąc rewolwerami, żądali wydania pieniędzy. Przestraszeni Jakubowicz i Demkow oddali im wszystkie pieniądze, jakie mieli przy sobie. Było to łącznie zaledwie kilka złotych. Bandyci nie byli zadowoleni tak małym łupem, więc zabrali się do zrzucania pak z wozu. Jednak w tym czasie dał się słyszeć turkot nadjeżdżających wozów, wobec czego bandyci spłoszeni zaraz zbiegli do lasu. Zawiadomiony o tym rabunku posterunek policyjny w Przedzielnicy koło Dobromila, przeprowadził śledztwo i zdołał ująć wszystkich trzech napastników. Są to bracia Iwan, Ołeksa i Piotr Szeremeta, których aresztowano i odstawiono do sądu. Ot nie chce się ludziom pracować, więc pragnęliby łatwym sposobem przyjść do majątku. A tymczasem zamiast majątku zdobywają sobie kryminał.

Zamordowanie wójta. Barbarzyństwo powojenne w powiatach wschodnich, a szczególnie w powiatach granicznych Turka, Dolina i t. d. głębokie zapuściło korzenie. Pałka, nóż, rewolwer, służą tam jako argumenta przekonywujące i są niestety stałem zjawiskiem. Nie ma miesiąca, by w tych powiatach nie odezwało się złowrogie echo zabójstwa, morderstwa, rabunku etc. — Ostatnio zaszedł znowu w powiecie doliniańskim fakt niebywałego morderstwa, który wywołał wstrząsające wrażenie i donośnem echem odbił się w powiecie doliniańskim i okolicznych powiatach. Przebieg tego okropnego wypadku jest następujący: Egzekutor z Doliny, Łacyk, otrzymawszy polecenie ściągnięcia od rolnika Wasyla Sowy w Mizuniu, grzywny w kwocie 136 zł., zażądał od Sowy zapłaty tej kwoty, a gdy ten odmówił, chciał Łacyk zająć jałówkę ze stajni Sowy, który jednak usiłował udaremnić wykonanie polecenia władzy. Wobec tego Łacyk przybrał sobie asystencję w osobach naczelnika gminy, Wołowacza i posterunkowego Langenbergera. Korzystając z chwili, gdy Łacyk z posterunkowym udali się do stajni w celu zabrania jałówki, Sowa rzucił się na naczelnika gminy Wołowacza i momentalnym ruchem utopił mu nóż w brzuchu. Na krzyk mordowanego przybiegł posterunkowy Langenberger a wówczas zbójca strzelił kilkakrotnie w stronę posterunkowego, na szczęście jednak kule go nie trafiły Poster. Langenberger widząc, że życie jego jest zagrożone, oddał strzał do Sowy, trafiając go w pierś. — O tym sensacyjnym wypadku dano znać do Doliny, skąd przyjechał dyrektor szpitala, który poczynił wszelkie możliwe zabiegi, by Wołowacza utrzymać przy życiu. Niestety nie odniosły one skutku, a zamordowany wśród ogromnych męczarni życie zakończył. Pogrzeb zamordowanego naczelnika gminy przemienił się w ogromną poważną manifestację ludności dla niewinnej ofiary, która padła na posterunku przy wykonaniu czynności urzędowych. Rana mordercy nie jest ciężką, toteż zaraz po wyzdrowieniu odstawiony będzie do aresztów sądowych.

Djabeł w słomie. Do handlarza paszy w Warszawie, Zysmana, przywoził co tydzień siano gospodarz Adam Świątkowski z Brzezówki w powiecie sochaczewskim. W ubiegłym tygodniu Świątkowski dostarczył, jak zwykle, dużą furę słomy. Po zważeniu wóz zaciągnięto pod szopę; robotnicy chwycili za widły. Nagle jeden z nich trafił na coś miękkiego, a jednocześnie w słomie rozległ się przeraźliwy krzyk. Robotnicy zeskoczyli z wozu, przypuszczając, że to djabeł tak wrzeszczy.



Po chwili z słomy wynurzyła się kudłata głowa ludzka. A gdy tajemnicza postać wygramoliła się wreszcie i stanęła na nogach, obecni spostrzegli, że z prawego jej uda sączy się obficie krew. Robotnicy ochłonąwszy z chwilowego strachu, zabrali się do dalszej pracy. Zaledwie widły utkwiły znowu w słomie, ktoś inny we wnętrzu fury ryknął bolesnym basem. Zysman narobił piekielnego krzyku, a ze słomy wyłoniła się nowa postać. Wezwano policjanta, któremu udało się wy-

jaśnić, że Świątkowski umyślnie ukrył w słomie dwóch chłopów, by jej dodać wagi. Tymczasem kmiotkowie, Nosarzewski i Zanoberg, oświadczyli, że nie wiedzą skąd się wzięli na wozie. Pamiętają tylko, że podpili sobie poprzednio i szukali noclegu. Co się następnie stało, nie pamiętają. Na zarządzenie policjanta obu chłopków zważono, a ponieważ się okazało, że ważyli razem 147 kilogramów, przeto też tyle Zysman odtrącił sobie od wagi słomy.

Porwanie Warszawianki. Wielkie wrażenie wywołało w dzielnicy staromiejskiej w Warszawie nagłe zniknięcie 18-letniej Stefci Naziębło, córki dekoratora kościelnego. Dzieweczka słynęła z urody. Nazywano ją „piękną Stefą", a kawalerowie garnęli się do niej tłumnie. Opinją cieszyła się jak najlepszą, powodzenie nie zapsuło jej wcale. W ubiegłą sobotę wśród sąsiadów gruchnęła wieść o zniknięciu Stefci. Wyszła z domu do kuzynki swej Marji Chiziówny i nie powróciła. Zaniepokojony ojciec późną nocą pojechał na Wolę, by się dowiedzieć, że córka bawiła tam zaledwie godzinę, poczem wsiadła do tramwaju i na tym szczególe giną wszelkie ślady. Z dochodzenia przeprowadzonego przez policję wynika, iż drzed kilkunastu dniami Stefcia zawarła przypadkową znajomość z jakimś młodzieńcem, zamieszkałym jakoby na Podwalu. Tajemniczy ten kawaler znikł jednocześnie z dziewczęciem. Istnieje obawa, że był to agent bandy handlarzy żywym towarem. Jest to nauka dla panienek wielkomiejskich, aby w zawieraniu znajomości były ostrożne.

Pierwsza szkoła cygańska. Przed kilku dniami odbyło się w Użhorodzie na Rusi Podkarpackiej uroczyste otwarcie pierwszej w Europie szkoły, której uczniami będą wyłącznie — cyganiątka. Już za czasów państwa austro-węgierskiego władze miały niemało kłopotu z załatwieniem kwestji nauczania szkolnego dzieci cygańskich. Te półdzikie istotki, włóczące się z taborem po całym kraju, nie znające innego języka oprócz cygańskiego, nie mogły być podciągnięte pod rygor ustawy o powszechnem nauczaniu. Dopiero teraz jest nadzieja, że za przykładem Użhorodu pójdą Rumunja, Węgry i Jugosławia, czyli kraje, w których żyje najwięcej Cyganów. Szkoła cygańska w Użhorodzie uzyskała specjalny plan naukowy, przystosowany do pojęć dzikich dzieci puszczy. Nauka ogranicza się do czytania, pisania i rachunków. Inne przedmioty właściwe normalnym szkołom skreślono, natomiast kładzie się wielki nacisk na lekcje muzyki, do której Cyganie mają wiele wrodzonych zdolności. Dodać należy, że Cyganie wdzięcznem sercem przyjęli projekt nauki i energicznie pomagają przy wzniesieniu budynku szkolnego dla swych dzieci.

Piekło sowieckie. Do Rygi przybył z Moskwy transport obywateli łotewskich, w liczbie 41 osób, wymienionych za komunistów, którzy odsiadywali karę w więzieniach ryskich. W rozmowach ze współpracownikami prasy ryskiej podali wymienieni zzkładnicy zastraszające szczegóły swego pobytu w więzieniach sowieckich, gdzie więźniowie skazani są na głód, katusze fizyczne i moralne oraz groźbę śmierci. Rozstrzeliwania dokonywane są w moskiewskiem więzieniu Butyrskim codziennie. Z celi skazańcy wyprowadzani są do kancelarji więzienia, gdzie się na nich rzucają funkcjonarjusze GPU. O ile skazaniec usiłuje stawić opór, zostaje natychmiast związany i wrzucany do samochodu, w którym więźniowie przewożeni są na miejsce kaźni, w gmachu GPU. na Łubiance. Przed egzekucją, która odbywa się w ciemnej piwnicy, funkcjonarjusze GPU. rozbierają skazańców do naga, poczem zmuszają ich do chodzenia po schodach, wiodących do piwnicy. W chwili tego schodzenia jeden z „czekistów" strzela do skazańca z tyłu, kładąc go trupem na miejscu. Opowiadania zakładników łotewskich. cudem wybawionych z piekła sowieckiego, sprawiły ogromne wrażenie. Istnieje obawa wrogich demonstracyj przed gmachem poselstwa sowieckiego, przed którym policja zdwoiła posterunki.

Wrzucony do studni. W Pełkińcu na Ukrainie sowieckiej zaszedł onegdaj niezwykły wypadek. Oto żyło tam pewne małżeństwo, które w żaden sposób nie mogło się ze sobą pogodzić tembardziej, że zacna połowica była bardzo lekkomyślną i wolała ponad swego męża miejscowych parobczaków. Szczególnie z Iwanem Prehidą łączyły ją dość bliskie stosunki, którym na przeszkodzie stał nieszczęsny małżonek. Rada w radę i w zeszłym tygodniu wiarołomna żona i jej kochanek uradzili wrzucić owego męża do studni, bardzo głębokiej, która znajdowała się daleko w polu, w miejscu rzadko uczęszczanem. Postanowienie swoje wprowadzili w czyn i biedna zawada w zdrożnej miłości znalazła się wkrótce na dnie studni. Kochankowie myśleli, że teraz nikt im już nie będzie przeszkadzał w ich zdrożnej miłości, sądzili bowiem, że ofiara ich znalazła na dnie studni natychmiastową śmierć. Ale jakiż był ich zawód, gdy jeszcze tego samego dnia nieszczęśliwiec powrócił do domu.



Dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności wrzucony do studni nie wpadł w nią odrazu, ale spadając, zaczepiał o wystające ocembrowanie studni tak, że znalazł się na dnie zupełnie nieuszkodzony. Był jednak na tyle ostrożny, że nie krzyczał zaraz po wrzuceniu go do studni, ale wyczekał dość długo i gdy już był pewny, że jego wrogowie odeszli, począł wrzeszczeć w niebogłosy. Szczęściem dla niego przechodził ktoś wówczas koło studni, a usłyszawszy ów krzyk, zaalarmował sąsiadów, którzy wyciągnęli ofiarę i ocalili przed niechybną śmiercią. Obrazek nasz przedstawia właśnie chwilę, jak sąsiedzi wyciągają owego nieszczęśliwego męża ze studni.

Podatek od krótkich włosów. Rada miejska bawarskiego miasta Lendau, położonego nad Izerą, długo przemyśliwała w jaki sposób zdobyć nowe źródła podatkowe. — Wreszcie, za poradą jednego z ojców miasta, pana Biedermana, postanowiono obłożyć podatkiem 50 marek rocznie, wszystkie fryzury chłopięce kobiet w Lendau. Każda dama, posiadająca krótkie włosy, zamieszkała w sławetnem mieście dłużej niż miesiąc, obowiązana jest płacić podatek. Pierwsze, potulniejsze podatniczki zapłaciły taksę, ku wielkiej uciesze czcigodnych mężów stanu, lecz oto, pewnego dnia do cichego miasteczka Lendau zawitała w gościnę do swej znajomej pewna dama z wielkiego świata. Wsteczna uchwała ra-

dy miejskiej oburzyła ją do głębi. Po upływie miesiąca dama odmówiła kategorycznie zapłacenia podatku, nie dość na tem, wszczęła z tego powodu wrzawę w całej niemal Bawarji. Ministerstwo spraw wewnętrznych na skutek podania pani z „wielkiego świata“ zakwestjonowało podatek, a poczciwy, zawstydzony Biedermąn, nieprzejednany wróg krótkich włosów, usunął się z koła czcigodnych radców miasta Lendau.

Kontrolor i telegrafistka. W jednej z miejscowości w Jugosławji sprytny oszust potrafił dokonać pomysłowego oszustwa, narażając skarb państwa na znaczną szkodę. W związku z naprężeniem stosunków włosko-jugosłowiańskich urzędnicy pocztowi otrzymali polecenie, aby w krótkim czasie nauczyli się odczytywać depesze ze słuchu. Zarządzenie to miało na celu podsłuchanie depesz idących szczególnie za granicę, a to celem utrudnienia akcji szpiegowskiej i przesyłania wiadomości dla państwa szkodliwych.

Okoliczność tę wykorzystał jeden z oszustów, który przybył do urzędu pocztowego w małej mieścinie. Tu przedstawił się kierownikowi jako kontrolor i wszedł do biura celem skontrolowania czynności zajętych urzędników. Kazał przedłożyć sobie książki kasowe, które pobieżnie przejrzał, poczem wszedł do biura telegraficznego i ostrym tonem zapytał zajętą przy aparacie telegrafistkę:

— Czy umie już pani odczytywać depesze ze słuchu? Telegrafistka nie umiała. Spojrzała błagalnie na „kontrolora“ i wyszeptała drżącym głosem:

— Byłam chora, nie zdążyłam się jeszcze nauczyć. Niech pan mi wybaczy.

Pan „kontrolor“, nie rzekłszy ani słowa, podszedł do aparatu i począł nadawać depeszę. Przerażona telegrafistka, przekonana, że jest to raport z dokonanej kontroli, nie broniła.

W parę godzin później urząd pocztowy w Nowym Bazarze wypłacił na telegraficzny przekaz kwotę 5.000 dinarów wskazanej w depeszy osobie. Pan „kontrolor“, pożegnawszy się i zjadłszy dobre śniadanie u naczelnika poczty, odjechał w niewiadomym kierunku. Dopiero w dwa dni później spostrzeżono się na poczcie, że urząd padł ofiarą sprytnego oszusta, gdy nadeszło potwierdzenie wypłaty 5.000 dinarów, których z tego urzędu nikt nie wysyłał. Przekaz nadany został własnoręcznie przez pana „kontrolora“ w czasie jego rozmowy z telegrafistką. Policja nadaremnie trudzi się odszukaniem oszusta.

Salomonowy wyrok. W Jugosławji sądzono niedawno bandę rozbójników albańskich, którzy prócz innych zbrodni. mają na sumieniu zamordowanie w r. 1915 czternastu żołnierzy serbskich, szukających po bitwie schronienia w pewnym klasztorze. Szef bandy, który zresztą przyznał się do wszystkich zarzucanych mu zbrodni, sądzony był z osobna za każdy występek i za każdy zbierał pewną ilość lat więzienia. Po przedostatnim wyroku zebrało mu się 350 lat więzienia.

— Wysoki sąd wybaczy — odezwał się ironicznie — że prawdopodobnie nie zdołam odsiedzieć wszystkich wyroków.

Wyrok za ostatnią zbrodnię orzekł karę śmierci i w ten sposób bandyta nie będzie miał „skrupułów“.

Podręcznik dla narzeczonych. Pastor szwajcarski, Wilhelm Strauss, wydał podręcznik „dobrego tonu“ dla narzeczunych i młodych ludzi. Oto kilka wyjątków dla młodzieńców, mających narzeczone: Narzeczony powinien widywać narzeczoną nie częściej, niż raz na tydzień. Wizyty nie powinny się przeciągać nad dwie godziny, nie powinny stanowczo przedłużać się po 10 wieczór, a pożegnanie powinno być krótkie i w obecności rodziców. Dla panien: Jeżeli twój narzeczony jest mrukiem, powinnaś dużo mówić, jeżeli gaduła, powinnaś milczeć, jeżeli uczonym, udawaj kompletną gęś, jeżeli starym kawalerem, wychodź do niego w fartuchu w rękami zawalanemi ciastem.

Ślepy szachistą. W odbywającym się obecnie w Londynie turnieju szachistów angielskich uczestniczy też wybitny szachista młodociany, zupełnie ociemniały. Młodzieniec ten, liczący obecnie lat 17, nie należy wprawdzie jeszcze do mistrzów szachów, ale gra jego zapowiada mu podobno miejsce wśród szachistów poczesne. Ślepy szachista gra figurami, których czarne mają główki zaokrąglone, białe zaś — śpiczaste, a dotykając z lekka palcami tych główek, orjentuje się doskonałe w sytuacji, istniejącej na szachownicy.

Szczęśliwy przypadek. Pewna maszynistka z Glasgowa w Anglji kupiła okazyjnie u handlarza starożytności sznurek pereł — wedle jej i sprzedającego mniemania fałszywych za niecały funt szterl. Jakież miłe było jej zdziwienie, skoro po pewnym czasie i też zupełnie przypadkowo odkryła, że perły są prawdziwe i warte 8000 funtów szterl., za którą to kwotę szczęśliwa maszynistka sprzedała je obecnie W Londynie.

Smutna zabawa. W Londynie w ostatnich dniach zauważono na placach oryginalną zabawę. Jest to rodzaj „kotka i myszki“, w której biorą udział: ślepiec i jednonogi, obydwaj inwalidzi wojenni, którzy w ten sposób „rozweselają“ tłum, aby zarobić na kawałek chleba. Część prasy wystąpiła dosyć ostro przeciw podobnej „zabawie“. Biedakami takiemi powinno się zająć społeczeństwo, aby nie potrzebowali w tak przykry sposób zarabiać na życie.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Andzia Onderkowa z Karwiny 10 kor. cz., Karol Kroczek z Karwiny na czapkę dla Maćka Bzdury 4 kor. cz., Członkowie Czytelni „Postęp“ z Kupienina na fryzjera dla Maćka Bzdury zł. 1·05.

Wiązanka.

WP. Ignacemu Freyowi urzęd. salin. w dniu imienin. Autor.

Dziś koło Twego biesiadnego stołu
Zeszło się grono przyjaciół serdecznych,
Ażeby dłoń Twą uściskać pospołu.
Życzyć lat życia jasnych i słonecznych...
Więc i ja także swoją lutnię stroję,
By na niej śpiewać co serce dyktuje.
Nie znaj co troski ani niepokoje,
Bóg niech się Tobą zawsze opiekuje...
Niech Twoje życie złotym blaskiem płonie,
Niechaj niesnaski dom Twój omijają —
Niechaj te szczodre spracowane dłonie
W najdłuższe lata braci wspomagają!
Żyj zawsze wesół wśród zacnej Rodziny —
Wśród drogich dzieci, które tak miłujesz,
A które w Tobie widzą skarb jedyny,
Bo swojem sercem na to zasługujesz!..
W szlachetnej głowie wielki czyn powstaje,
Szlachetna ręka wonne wieńce wije,
A pamięć wieczna w sercach pozostaje!
Szczęść Boże zawsze Tobie, ukochany
Sąsiedzie miły, serdeczne »Szczęść Boże!«
Niech Ci obfity plon wydadzą łany
A spichrze Twoje niech zapełni zboże!
Tego Ci życzę w dniu Twego Patrona
Z gębi, miłością wezbranego ona.

W lutym 1927.

Robert Rydz.

RZECZY CIEKAWE.

Fabrykacja zapałek.

Niema chyba przedmiotu pierwszej potrzeby, tak taniego, jak zapałki, żadnego chyba przedmiotu nie można otrzymać tak łatwo, a częstokroć bezpłatnie, gdyż zwraca się tylko do najbliższego sąsiada i natychmiast otrzymuje się je, ażeby zapalić ulubionego papierosa. Zapałki można sprzedawać dlatego tylko tak tanio, ponieważ produkuje się je w olbrzymich ilościach i ma się na nie zawsze zbyt zapewniony. Wszystkie fabryki szwedzkie produkują razem 30.000 zapałek w jednej sekundzie, czyli jedną zapałkę dla każdego człowieka na całym świecie dziennie. Tak wielka fabrykacja może być uskuteczniona tylko dzięki precyzyjnym maszynom automatycznym, z których największe znajdują się w Jönköping, głównej centrali szwedzkiego przemysłu zapałczanego. Do maszyny takiej wsadza się z jednej strony bloki drzewne a wyjmuje się z drugiej strony gotowe pudełka z zapałkami, a więc 40.000 pudełek na godzinę, czyli 3 miljony sztuk. Wprawdzie starają się kierownicy koła szwedzkiego przemysłu zapałczanego ukryć tajemnice produkcji, jednakże jesteśmy w możności dać krótki opis tej maszyny i fabrykacji. Najpierw więc rozbija się drzewo na bloki, korę się zdejmuje a bloki otrzymują formę cylindrową. Bloki te tarte są ostrą, cieniutką piłą maszynową i wychodzą w postaci płatów o grubości zapałki. Płaty kraje się potem na części odpowiadające długości zapałki, a części te znowu na mniejsze, które składa się razem i rozcina się na patyczki o rozmiarach jednej zapałki. W ten sposób patyczki przygotowane są już do procesu chemicznego i zanurzane są najpierw w mieszaninie kwasu fosforowego i wody, ażeby zapobiec dalszemu paleniu się zapałki, pomimo zagaszenia ognia. Patyczki suszy się potem ciepłem powietrzem i poleruje w obracającym się w bardzo szybkiem tempie — cylindrze przez wzajemne tarcie. Zepsute patyczki usuwa się, a dobre kładzie się obok siebie, jednak w takiem oddaleniu, że nie dotykają się wzajemnie z chwilą zaopatrywania je w główki. W ten sposób składa się jakich 10.000 sztuk, które zajmują przestrzeń jednej stopy kwadratowej. Końce patyczków kładzie się w głęboką kąpiel parafinową, ponieważ parafina chwyta prędzej ogień aniżeli drzewo i w ten sposób umożliwia się, że po zapaleniu ogień obejmuje również część drzewną. Następnie zanurza się zapałki w chemicznej substancji, która konieczna jest do ich zapalenia, a potem zapałki się suszy i pakuje w pudełka, kursujące na wstążce między specjalnemi szczotkami, i zaopatruje przytem w ściankę fosforową potrzebną do zapalenia zapałek. Tak się przedstawia pokrótce proces fabrykacji zapałek. Już sama produkcja zapałek była dawniej połączona z wielkiem niebezpieczeństwem dla robotników, teraz jednak dzięki ulepszeniom technicznym, niebezpieczeństwo to usunięto.

Zmyślność ptaków.

Do najzmyślniejszych ptaków należą kruk, szpak i wróble. O ich zmyślności podaje Dr. Roman Jamrógiewicz w „Wieku Nowym“ kilka ciekawych szczegółów. Kruk np. posiada bardzo wiele przymiotów a zwłaszcza godne uwagi są jego pamięć, bystrość, ostrożność i dowcip, a w potrzebie odwaga, przebiegłość i rozwaga. W niebezpieczeństwie w lot oceni jego wielkość, zna doskonale strzelbę i umie ocenić odległość, którą nabój przebiec może, rzadko da się podejść. Nader łatwo uczy się mówić basem i to tak wyraźnie, jak żadna papuga, przemawiając głosem chrypliwym, niejednego może oszukać. Naśladuje dokładnie nietylko mowę ludzką, ale także szczekanie psa, miauczenie kota i głosy innych zwierząt. Nieraz tak jest szczabiotliwy, że dniami całymi gada.

Wielką zdolność naśladowczą posiada szpak. Wszystkie słyszane w danej okolicy głosy, a więc gwizd wilgi, gdakanie kur, turkot młyna, bicie przepiórki, a nawet mowę ludzką, wszystko podchwyci wprawne ucho, gorliwie wyuczy się gardło szpacze i oddaje potem w wesoły sposób. Ciekawym jest opis, jak szpak wiernie naśladuje nawet gwizd ludzi. Pewien właściciel ogrodu chorował na gardło i wskutek tego przywoływał robotników gwizdaniem. Otóż zdarzało się nieraz, że ludzie nadbiegali, mimo, że właściciel ich nie wołał, bo np. nie był w danej chwili w ogrodzie. Pokazało się wreszcie, że gnieżdżący się w pobliżu domu szpak podchwycił sposób gwizdania i taką sobie uciechę wyprawiał.

Prym jednak dzierżą wróble, które nawet na strachach przeciw nim stawianym siadają... A jest zawsze między wróblami jeden taki wójt, który wszystko wypatrzy i zbada. Ten, niby ot tak od niechcenia podskakuje sobie z daleka, a dobrze wyciąga szyję i wszystko co trzeba, wybornie widzi. Rzucisz ziarno drobiu — już pan wójt wróbli jest, a za nim cała gromada i nim się drób zbierze, wróble pierwsze żywią się. Nasypiesz koniom obroku do żłobu, już wróble spenetrowały to i już dzielą się — choć nieproszone — obrokiem z końmi. Stanie wóz na drodze, a dzadzą koniom jeść, wróble muszą być przytem, niebezinteresownie naturalnie. Nic nie ujdzie ich uwagi, a już najpilniej pracują, gdy się sieje pietruszkę, mak itp., toż samo na łanach dojrzewającego zboża, albo w sadzie na trześniach, chociaż i słonecznikom nie przepuszczają.

Zasypane miasto

Generalny dyrektor sekcji dla sztuk pięknych w Rzymie, wypracował i przedłożył rządowi plan odkopania Herkulanum, które jak wiadomo zostało zasypane wraz ż Pompeją w 79 r. przed Chrystusem. W kołach rządowych odnoszą się z pełną sympatją do tego naukowego przedsięwzięcia. Natomiast w sferach technicznych wskazują na szereg olbrzymich trudności, jakie się łączą z tą imprezą. Przedewszystkiem masy kamienne, pokrywające Herkulanum są tak twarde, iż przewiercenie ich wydaje się wprost niemożliwe. Dotychczas wykopano jedynie parę szybów, z których najważniejsze pod kierownictwem austrjackiego generała Elbenfa w r. 1708, a więc na długo jeszcze przed odkopaniem Pompeji. Z początkiem bieżącego stulecia zaproponowało pewne konsorcjum angielsko-amerykańskie, kierowane przez archeologa Waldsteina, rządowi włoskiemu odkopanie Herkulanum. Mimo licznych trudności finansowych, w jakich się znajdował ówcześnie skarb włoski, odrzucono tę propozycję ze względów zasadniczych. Ewentualne roboty będą również utrudnione przez fakt, iż na zasypanem Herkulanum wznoszą się obecnie dwa miasteczka: Resina i Portici, których ludność należałoby osiedlić gdzieindziej. Znaczenie, jakieby miała realizacja tego projektu dla nauki i kultury, byłoby ogromne, albowiem Herkulanum było pięknem i bardzo bogatem miastem, podczas gdy odkopana Pompeja była jedynie zwyczajnem miastem prowincjonalnem.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **M. Sikora** w L. M.: Wierszyki chętnie będziemy drukować, gdyż są dobre, jednak w każdym jest to niemożliwe. Gdybyśmy każdego z naszych współpracowników chcieli w każdym numerze po jednym wierszu drukować, toby nam na inne rzeczy zupełnie miejsca nie pozostało. — **Emilja Półkoszkowa** w Ł. P.: Słusznie Pani ujmuje się za Kaśką Myrdalonką, że wobec równouprawnienia kobiet w Polsce i ona powinna zabrać w „Roli" głos. Zaproponujemy jej to, a może się zgodzi. — **Zofja i Józefa Biel:** Nadesłany nam opis wypadków jest rzeczywiście ciekawy i gdy tylko zbierzemy więcej takich nadzwyczajności od naszych Czytelników, zamieścimy ich opis p. t. „Dziwy w świecie". — **Feliks Pruski** w Z.: Opowiadania Maćka Bzdury w wydaniu książkowem zostały zupełnie wyczerpane w handlu księgarskim. Ostatnie 200 egzemplarzy zakupiła w czasie wojny księgarnia Czerneckiego w Krakowie. Może być, żeby Pan tam jeszcze dostał jaki egzemplarz. — **Władysław Bara** w S.: Myli się Pan, twierdząc, że „Rola" jest droższa, aniżeli inne tygodniki, bo niektóre tygodniki kosztują 8 złotych rocznie, a „Rola" 12 zł. Częściowo prawda, ale niezupełna, bo przecież i kamizelka więcej kosztuje, aniżeli guzik, a każdy przecie wie, że wartość guzika a kamizelki nie mogą być zupełnie jednakowe. Tygodniki kosztujące po 8 zł. rocznie dają po 8 stron druku, a „Rola" daje 20, w innych niema ilustracyj, które bardzo dużo kosztują, a „Rola" ma je w każdym numerze, na inne pisma dają pieniądze stronnictwa polityczne, które zbierają składki od swych członków, „Rolę" utrzymują wyłącznie prenumeratorzy, gdyż na nią, jako na pismo nie zajmujące się polityką, żadne stronnictwo nie da ani grosza. Gdy to Pan wszystko dobrze rozważy, przyzna chyba, że „Rola" nie jest droższem od innych pismem, ale owszem znacznie tańszem. — **Stowarzyszenie Młodzieży polskiej w Brzozowcu Słotwinie:** Niestety, bezpłatnie „Roli" nikomu posyłać nie możemy, gdyż chcąc posyłać zadarmo, nie mielibyśmy jej za co wydawać, a przez to bylibyśmy zmuszeni zaprzestać wydawnictwa. Łatwiej przecież Stowarzyszeniu zdobyć się na prenumeratę, jak nam uskuteczniać wysyłkę zadarmo tembardziej, gdybyśmy uwzględnili życzenie jednego Stowarzyszenia, musielibyśmy uwzględniać i innych. — **Marjan Wallas** w K.: Nadesłane nam szarady byłyby dobre, gdyby wiersz był należyty; brak w nim jednak rymu. Nr. 1 posiadamy jeszcze niewielką ilość. — **Adolf Firla:** Wierszyki otrzymaliśmy — dziękujemy. Nowelki, ale nie dłuższe nad stronę druku chętnie przyjmujemy. — **Franciszek Stańczyk** w Z.: Nuncjatura Apostolska, Warszawa, Aleje Szucha 10. — **Stanisław Jakiel** w R.: Można i tak przesyłać prenumeratę, ale to niepotrzebne koszta. Początki powieści mamy jeszcze ale już bardzo mało; o ile się Pan pospieszy, może jeszcze otrzymać.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 stycznia b. r.

Pszenica	53·00—54·00	Słoma długa	5·50—6·50
Żyto	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies	31·50—34·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	34·00—35·00	sienn. czer.	460·00—480·00
Groch zwyk.	52·00 - 55·00	Mąka pszen.	91·00—92·00
Fasola biała	53·00 - 57·00	Mąka żytnia	64·00—62·50
Łubin żółty	31·00—32·00	Otręby żytnie	26·00—27·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył F. Gruca).

■ ☆ ☆ ☆ Inaczej pokuta.
■ ☆ ☆ ☆ Trunek.
■ ☆ ☆ ☆ Obrzęd.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę dzikie.
■ ☆ ☆ ☆ Zdrobniałe imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Inaczej przyjemnie.
■ ☆ ☆ ☆ Miara.
■ ☆ ☆ ☆ Szmat ziemi upraw.
■ ☆ ☆ ☆ Inaczej powodzenie.
■ ☆ ☆ ☆ Schronienie Noego.
■ ☆ ☆ ☆ Zdrobniałe imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Uprawa ziemi.
■ ☆ ☆ ☆ Mieszkanie zwierząt.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzęta.
■ ☆ ☆ ☆ Kwiat.

Początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko osoby często wspominanej w „Roli".

2. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski).

I.

W nocy to hotel a w dzień fabryka,
Wchodzi się oknem choć się drzwi zamyka.

II.

Co to za golarz co bez brzytwy goli,
Lecz tylko takich, którzy są w niedoli.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Jan Bylica).

Pierwsza każe nam milczenie,
Pierwsza z drugą zabarwienie,
Druga trzecia dobra bywa
Gdy stosowna i życzliwa.
Nad całością umysł snadnie
Utrudzi się, ale zgadnie.

II.

(Ułożył W. Płaziński z B.)

Pierwsza, druga mkną jak strzały,
Dokąd sami chcecie,
Druga, trzecia smakowały
Nota bene w lecie.
Całość lubi przy węgrzynie,
Prawić cuda o zwierzynie.

4. Przestawianka.

(Ułożył Aleksaader Gwóźdź z L.)

Grane! mówi Basara.

Z liter, w tem zdaniu zawartych ułożyć znane przysłowie.

Termin nadsyłania rozwiązań do 6 lutego b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 3 „Roli": Arytmogryf: Woodrow Wilson. Szarady: 1. Gramatyka, 2 Zapałki. Wiatrak: Okręt.

W oznarzonym czasie dobre rozwiązanie nadesłali pp. Jan Czeluśniak z W., L. Kapitan z K., Ernest Hartmann z K., Antoni Mitka z K., Wawrzyniec Rzepka z O, Zygmunt Lang z T., Maksymiljan Rutkowski z T., Fr. Juroszek z I., Hugo Goldberger z W., Jan Gargula z B., Wład Maniewski z D., Jan Ratyński z M., Stef. Reuss z K, Stanisłnw Jachowicz z G., Winc. Flis z L., Jan Bylica z K., Karol Żyła z F., Wojciech Ciepiela z B., Adam Sowiński z N. S., Jan Stańda z W., Fr. Bojda z N., Koło młodzieży w Łętowni, Jan Patulski z S, Fr. Kowalcze z Ł., Rudolf Kulla z K. M., Edward Cygan z B., Jan Mrózek z Z., Władysław Ptasiński z B., Jan Wójcik z W., Józef Topolski z P. G, Eug. Kędzior z K. H., Fr. Łukasik z B., Zygmunt Warchoł z T. W., Tomasz Dymanus z K., Jan Dubis z J., Marja Radlmesser z S., J. Kapuściński z L., T. Wójcik, Aleks. Gwóźdź z L., Antoni Frączek z P., Emilja Półkoszkowa z Ł. P., Fl Ciebiera z Rz., Andrzej Grzegorzek z U., Wawrz. Kellner z P. L., Józef Grzyb z W., Leon Stańczyk z S., Józef Zagól z K., Jan Czader z S. W., F. J. Kwiczala z K., Wojc. Szczygieł z G., Jan Prorok z T. D., Jan Strzyż z T., Fr. Ciepiela z B., Jan Lose z M. K., Józef Gąsior z S., Juljan Józefczyk z G., Józef Gasiński z B., Jan Babiarz z K., Jan Śnieg z K., St. Maciejczak z M. D., Sala Sturmówna z S., Leon Łętowski z S., Józef Bigaj z K., Józef Kaizer z W. G, Jan Wojnar z M. G., St. Jakiel z R., Piotr Adamczak z G., Jan Baraniak z B., Izak Anisfeld z K., Rudolf Skurzok z K., Paweł Rybski z G., Kiecki sierżant 16 p. p. z T., Jan Cużydło z K., Tychon Becan ze Z., Jan Szybka z Ch., Józef Rylewicz z T., T. Dyduch z W., J. Baziuk z K., Marjal Wallas z K., A. Jurek z K., A. Tworek z S, G. Wirstnik z S, H. Lehrfeld z K., S. Sztok z K., L. Fürst z K., M. Święcicka z D., W. Szajda z T., K. Suchanek z W. G., St. Marmuźniak z K., Wł. Gleń z M. Jan Szybka z Ch., Mieczysław Woźniczka z T.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Ratyński w M. i Maksymiljan Rutkowski w T.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Chora.

Pewnego lekarza, nałogowego pijaka, powołują wprost z knajpy do pewnej damy, która nagle zachorowała. Lekarz zastaje swoją pacjentkę nawpół przytomną na otomanie, ujmuje jej rękę chcąc puls wybadać, będąc jednak silnie podochoconym nie może sobie dać rady z djagnozą. Oburzony sam na siebie, mruczy pod nosem:

— No, doprawdy, żeby się tak upić — to trzeba być świnią!

— Na miłość boską, doktorze! — odzywa się błagalnie pacjentka. — Nie zdradź mnie tylko.



Krótka proza.

— Cóż, jak tam powodzi się waszemu Grzeli w Warszawie?

— Dzięki Bogu, dobrze. Udawał janglika u hrabiego przy koniach wyścigowych, a teraz służy za murzyna przy pannie pana hrabiego.



Twardy.

— A macie twardy sen?

— O... pewnie panie konsyljarzu... bo ja jestem nocnym stórżem i śpię zwykle na kamieniu.

Na podwórzu.

Chodźcie, dziadku, na górę to maja pani da wam chleba i parę groszy.

— Akurat! będę tam na drugie piętro łaził po taką marnotę, niech pani sobie poszuka drugiego dziada...



Dalekie pokrewieństwo.

— Dziwi mnie bardzo, że pan tak mało dba o swego brata.

— Proszę pana, to jest tak dalekie pokrewieństwo: aż pięć sióstr nas przedziela.



Nie pójdzie do nieba.

Matka: Módl się grzecznie Kasiu, a pójdziesz do nieba.

Kasia: Ale nasz Walek nie pójdzie do nieba, prawda?

Matka: Dlaczego?

Kasia: Bo on jeszcze nie umie chodzić.

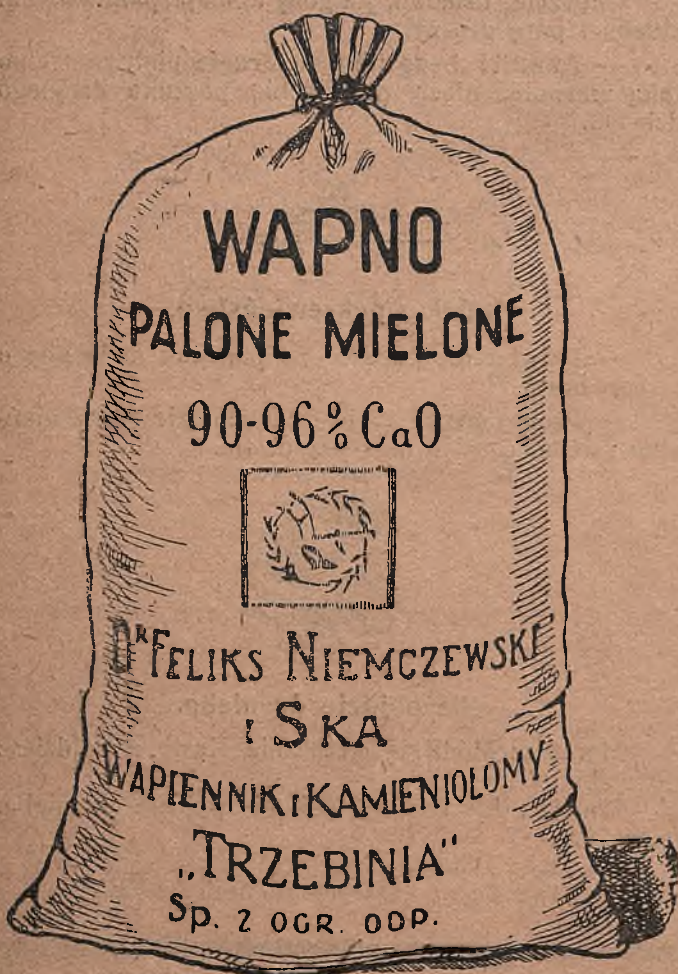
Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

Prenumerata na rok 1927 wynosi:

Rocznie 12·— Złotych, — Półrocznie 6·50 Zł.

Kwartalnie 3·40 Zł.

Prosimy o wyraźne i dokładne pisanie adresów, szczególnie ostatniej poczty.


WAPNO
PALONE MIELONE
90-96 % CaO
Dr. FELIKS NIEMCZEWSKI
i SKA
WAPIENNIK i KAMIENIOŁOMY
„TRZEBINIA"
Sp. z ogr. odp.


PIWO TARNOWSKIE
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH
LEPSZYCH HANDLACH
ZDRÓJ MIESZCZAŃSKI
I
BAWAR
ZALECANY PRZEZ
NAJWYŻSZE PO-
WAGI LEKARSKIE